MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 11 WARSZAWA, 14 MARCA 1937 R CENA NUMERU 80 GR.

HISTORYCZNA POSTAĆ

DZIĘKI inicjatywie i opiece prof. Franciszka Bujaka istnieje od szeregu lat we Lwowie instytucja naukowa i wydawnicza pod ogólną nazwą: „Badania z dziejów społecznych i gospodarczych". Ma ona za sobą 31 dzieł naukowych z zakresu społeczno-gospodarczych zagadnień Polski.

Obecnie zaś instytucja ta wydała pracę Franciszka Kąckiego, jednego z młodych uczniów prof. Bujaka, p. t. „Ks. Stanisław Stojałowski i jego działalność społeczno-polityczna". Tom I (1845 — 1890).

Osobą i działalnością ks. Stojałowskiego, zmarłego w r. 1911, interesuje się wielu. Przed paru laty otrzymałem z Rzymu od jednego z uczonych włoskich, pracującego nad historią panowania papieża Leona XIII, prośbę o materiał o ks. Stojałowskim. Wiem, że jeden z uczniów prof. Kota od lat gromadzi materiał do dużej pracy o ks. Stojałowskim. Każda książka, każda broszura o życiu politycznem b. Galicji po r. 1870 musi potrącić o działalność ks. Stojałowskiego. Żyją do dziś jego współpracownicy i wielbiciele. U grobu jego na cmentarzu krakowskim co roku w Zaduszki zjawiają się delegacje z daleka. Wpływ ks. Stojałowskiego do dziś daje się odczuwać na wsi galicyjskiej i w środowiskach małomieszczańskich. To też z zaciekawieniem brałem do rąk przysłaną mi książkę p. Fr. Kąckiego.

P. Kącki kreśli tło epoki, w której ks. Stojałowski rósł i działał i opowiada o jego studiach gimnazjalnych we Lwowie, wyrzuceniu go ze szkół, o wstąpieniu do OO. Jezuitów, o stosunkach w tym Zakonie, o wystąpieniu z Zakonu i pierwszych pracach we Lwowie. Były to lata 1860—1876, zatem lata wielkich przewrotów politycznych w monarchii austriacko węgierskiej. Wskutek klęsk wojennych Austria przemieniła się w monarchię konstytucyjną. Galicja z W. Księstwem Krakowskim, Zatorskim i Oświęcimskim otrzymała autonomię, Sejm i Wydział Krajowy we Lwowie, język polski w szkołach i urzędach, Polaków jako urzędników, sędziów, nauczycieli na wszystkich szczeblach hierarchii biurokratycznej aż do namiestnika i marszałka Kraju włącznie. Władzę w Kraju w imieniu cesarza i monarchii objęli konserwatyści, głównie ziemianie, dzieląc się nią w drobnym procencie tylko z ówczesnymi liberałami miejskimi.

Lud wiejski, nieliczni robotnicy, ubogie mieszczaństwo — słowem lud — tylko formalnie miały prawa polityczne. Brak oświaty i uświadomienia, brak organizacji i przywódców sprawiał, że masy były biernem narzędziem w ręku starostów, szynkarzy, wójtów, pisarzy gminnych. Na posłów do Parlamentu i Sejmu Krajowego chłopi wybierali starostów, ziemian, czasem nawet „pańskich" chłopów, wskazanych im w ostatniej chwili przez Komitet centralny. Między grupą rządzącą a masą zwłaszcza chłopską istniała przepaść, przez blisko 100 lat podsycana przez biurokrację obcego pochodzenia, przepaść częściowo odziedziczona wraz z pańszczyzną po Polsce historycznej: To „cesarz zniósł pańszczyznę", to „cesarz broni chłopów przed panami" — taki był głos powszechny.

W takim to czasie rozpoczynał swoją pracę ks. Stojałowski. Szersze świadome życie rozpoczął jako ksiądz-zakonnik, jako Jezuita w Krakowie. Dalekie więc i obce były mu myśli rewolucyjne i światoburcze. Rozpoczyna kazania i misje, wydaje artykuły, broszury i pisma w zgodzie z kościołem i z zakonem, bo pod łaskawem, nawet życzliwem okiem „Czasu" i Konserwatystów. Od początku ma jednak jedną pasję: nauczania, uświadamiania religijnego i narodowego i organizowania mas wydziedziczonych. „Ludzie mówią pacierz i żegnają się, ale nic o Bogu i kościele nie wiedzą, a wiedzieć powinni, wiedzieć muszą. Polski nie ma, ale jest naród polski, więc go złączyć, zorganizować, oświecić i do czynu pchnąć musimy". Żywiołowy wręcz temperament ks. Sto-

jałowskiego nie pozwolił mu na spokojną, cichą, zgodną z wolą przełożonych w Zakonie i na harmonijną z konserwatystami pracę. Gdy jedni i drudzy dali mu do wyboru: wygodne życie, zaszczyty i pracę kontrolowaną, albo rozstanie i walkę, wybrał bez namysłu walkę.

Nie tu miejsce na obszerny opis powrotu ks. Stojałowskiego do Lwowa, opis założenia „Wieńca", „Pszczółki", „Dzwonu", „Piasta", „Kaznodziei Polskiego" i wielu kłopotów, z pismami związanych. Nie będziemy opisywać losu pierwszego wiecu włościańskiego, założenia T-wa Oświaty i Pracy, Spółki Krajowej posługaczy publicznych (expresów, rębaczy i wyrobników), założenia pierwszego pisma fachowego „Gospodarza wiejskiego", a potem założenia T-wa Kółek rolniczych i Strzechy mieszczańskiej, jego pracy w Radzie m. Lwowa jako wodza nowej organizacji katolicko-narodowej i związanych z temi pracami sukcesów, klęsk i zawodów. W wyborach z r. 1876 otrzymał w Białej — aż 1 głos. Krótko trzeba tylko stwierdzić: ani konserwatyści ani liberali nie poparli go w tych pracach — przeciwnie brali mu za złe jego wiece, jego prace uświadamiające. Konserwatyści robili wszystko, aby nie dopuścić do założenia Kółek rolniczych, a gdy powstały wbrew nim, przypuścili do nich szturm, aby je opanować i — uśpić. Namiestnik Alfred hr. Potocki co chwila zjawiał się u arcybiskupa lwowskiego ks. Wierzchleyskiego, żądając, aby zabronił ks. Stojałowskiemu zgromadzeń chłopskich. Wezwano ks. Stojałowskiego przed oblicze ks. arcybiskupa. Wysłuchawszy żądania namiestnika, odpowiedział ks. Stojałkowski dosłownie: „Excellencjo, robię wszystko jawnie i otwarcie i w duchu kościoła — jeżeli wykroczyłem przeciw, ma rząd środki, aby mógł przeszkodzić lub zakazać, ale w granicach prawa przecie wolno mi działać". „Masz słuszność, rzekł arcybiskup, ale uważaj, bo to z namiestnikiem trudna sprawa".

Istotnie była trudną. Gdy tylko brakło ks. arcyb. Wierzchleyskiego, zwaliły się na głowę ks. Stojałowskiego wszystkie potęgi tego świata. Nie tylko świeckie. Arcyb. Morawski i biskup-sufr. Puzyna szli zgodnie z namiestnikami Potockim, Zaleskim i Kaz. Badenim. Rozpoczęły się szykany. Nie mamy znowu potrzeby opisywania ich szczegółowo po rządach sanacji. To nie był wynalazek sanacji: Stosowali je już przed 60 laty cesarsko-królewscy namiestnicy w Galicji, władze świeckie, administracja i sądy, niestety i władze kościelne działały zgodnie. Próbowano ks. Stojałowskiego kupić (marsz. Zyblikiewicz ofiarował mu 5000 reńskich za „Wieńca" i Pszczółkę" i ich dalszą redakcję), a gdy to nie poszło, postanowiono go złamać. Ks. biskup Puzyna nałożył nań suspenzę, władze rozpisały konkurs do jego majątku, aresztowano go i wiele miesięcy przetrzymano w więzieniu, aby w końcu skazać go na 4 tygodnie za — niewypłacalność. W chwili gdy zapadł ów wyrok, odbywały się wybory sejmowe. Postanowiono więc, że ks. Stojałowski ma odrazu odsiedzieć karę (7 miesięcy aresztu śledczego nie policzono mu). Wypuszczono go ostatecznie z więzienia dopiero po wyborach.

Ksiądz Stojałowski rzuca kościelne urzędy. Skarży wyrok sądu do wyższej instancji (bez wiary w rezultat), zapowiada skargę do Rzymu na suspenzę (dowiemy się w tomie II o jego zwycięstwie), a równocześnie rzuca się w wir walk politycznych, do tworzenia organizacji społecznych. Tworzy pierwsze stronnictwo katolicko-narodowe. Zakłada towarzystwo osadnicze dla parcelacji polskich folwarków w Małopolsce wschodniej między polskich chłopów z Zachodu. Tworzy spółki rolnicze (Towarzystwo wadowickie) i sklepy wiejskie. Walczy z żydami jasno i ostro. Wiezie masy chłopskie na uroczystości Króla Jana III do Krakowa, na sprowadzenie zwłok A. Mickiewicza do Krakowa (przybyło mimo sprzeciwu starostów, żandarmerii i koiei 12.000 chłopów). Już dawniej był z pielgrzymką (antyrosyjską) do Rzymu. Otrzymał tam tytuł prałata. Organizuje wspólną polsko-ruską agitację za zrównaniem kalendarzy (postulat aktualny, bo dotąd niezałatwiony!).

Ks. Stojałowski, mimo więzienia i przeszkód, wybiera pierwszych posłów swojego stronnictwa. Z nimi organizuje dalsze prace ekonomiczne i polityczne. Do walki z nim stają obok konserwatzstów i liberałów, powstali w tych latach ludowcy typu Wysłoucha i Stapińskiego i socjaliści. Ks. Stojałowskiego tępi już oficjalnie i otwarcie każdy starosta, każdy żandarm. Nie ma rady — trzeba uciekać. Ks. Stojałowski opuszcza Galicję i w r. 1890 osiada na Śląsku, aby stąd prowadzić i dopilnować gazetek i prac politycznych, oświatowych, gospodarczych, społecznych. Sądzi — mylnie — że na Śląsku nie dosięgnie go ręka c. k. namiestnika galicyjskiego.

Namalowaliśmy — streszczając dzieło p. Kąckiego — obraz ponury. Takim był w istocie. Ks. Stojałowski byłby utonął, gdyby stał sam, zwłaszcza w początkach. Ks. Stojałowski miał jednak przyjaciół serdecznie oddanych mu tak wśród duchowieństwa, jak i wśród ziemian. Długi czas podtrzymywali go OO. Jezuici, ks. arc. Wierzchleyski, późniejszy Kardynał ks. Ledóchowski, biskupi Łobos i Pelczar, a z ziemian Podlewski, Anna z Działyńskich Potocka, Ludwik Wodzicki. A później ks. Stojałowski skupia koło siebie zapalonych, oddanych, wiernych działaczy ze wszystkich warstw, głównie jednak dzieci wsi.

Ks. Stojałowski wyprzedził wszystkich w pracy społecznej i polityczno-narodowej wśród mas chłopskich, mieszczańskich i robotniczych. Był prekursorem ruchu narodowego w b. dzielnicy austriackiej.

P. Kącki sięgnął do wszystkich możliwych źródeł archiwalnych i do prywatnych zbiorów. Znalazł n. p. w sądzie lwowskim akta procesu z lat 1888 i 1889. Dotarł do archiwum OO. Jezuitów i zbiorów kurii metropolitalnej. Miał w ręku mnóstwo listów księdza Stojałowskiego, pamiętniki jego wieloletniej współpracownicy Heleny Hempel, pisma, broszury i książki, wydawane i pisane przez ks. Stojałowskiego. Ks. Stojałowski co roku wydawał t. zw. kalendarz wieczny, a w nim zamieszczał sprawozdania ze swoich prac, często snuł plany i projekty. Czepiały się go plotki, oszczerstwa, zarzuty — więc broniąc się pisał broszury, memoriały, skargi. P. Kącki przeglądnął cały ten olbrzymi materiał i szczęśliwie wydobył z niego to, co najważniejsze.

P. Kącki nie idealizuje ks. Stojałowskiego. Zna i widzi wszystkie jego wady i ułomności. Nie próbuje ich usprawiedliwiać. A nie mniej spod pióra uczonego wyszła sylwetka człowieka wielkiej idei, kolosalnej wiary i siły, człowieka olbrzymich dla mas polskich zasług.

STANISŁAW RYMAR

DLACZEGO WYGNANO ŻYDÓW Z FRANCJI?

(Dokończenie).

III

DOBROBYT materialny żydów francuskich i względne bezpieczeństwo, jakie im zapewniały złotem kupione przywileje, zwracać poczęły szybko uwagę i nadzieję całej diaspory na piękną i urodzajną ziemię dawnych Gallów. Liczba żydów, zamieszkujących terytorium dzisiejszej Francji osiąga w XI wieku pokaźną cyfrę 800,000 głów. W tym też czasie przenosi się z Azji do Europy i po przejściowym pobycie w Hiszpanii ustala na południu Francji światowe centrum żydowskie. Książe wygnania (Nasi) osiedla się w Narbonne, a wolni od trosk materialnych rabini oddają się namiętnie studiom talmudycznym, ujmując jednocześnie w swe ręce nadzór nad politycznym, prawnym i gospodarczym życiem żydowstwa. Luźno dotychczas ze sobą powiązane gminy otrzymują jednolite kierownictwo. Na szeregu, regularnie niemal odbywających się, zjazdów-sejmików (prototypach późniejszych polskich waadów i sejmu czterech ziem) rozstrzygają rabini nietylko zawiłe kwestie prawno- teologicznej natury, ale normują całokształt życia żydowskiego, ustalając przedewszystkiem zasady postępowania wobec chrześcijan, a zwłaszcza tępiąc bezlitośnie wszelkie próby wywlekania przed forum gojowskie wewnętrznych spraw autonomicznych gmin.[1]) Powagi uchwał strzegła i zapewniała ich wykonanie potężna broń duchowa — „wielki cherem", ów nad wyraz skuteczny środek z miejsca niweczący wszelką próbę wyłamania się z narzuconych w imię dziejowej misji Izraela, oków. [2]) W imię tej misji, oparte o materialną potęgę swych bogactw i skonsolidowane wewnętrznie w dobrowolnie przez siebie wzniesionych murach ghetta, [3]) ruszyło żydowstwo francuskie na podbój narodu rdzennego.

Pierwszy etap walki polegał na utrwaleniu i rozszerzeniu opieki i protekcji możnych panów feudalnych. Brak centralnej władzy państwowej, jej rozproszkowanie między wielką ilość książąt, hrabiów, vicehrabiów czy kasztelanów zadanie to ułatwiało, dopomagało rozluźnienie obyczajów, zamiłowanie do zbytków, nadmierny ciężar wydatków na utrzymanie rodowego prestiżu i ogólne rozprzężenie moralne. Historyk żydowski Dubnow pisząc o stosunkach panujących w południowej Francji na przełomie XI wieku tak to ujmuje:

> „Licznym z pośród nich (t. j. żydów, przyp. nasz.) udało się osiągnąć tak wielki dobrobyt, że mogli nawet swym panom, hrabiom, wicehrabiom (*vicecomes, vicomte*, namiestnik hrabiego), lub arcybiskupom pożyczać pieniądze. Tym sposobem zawarli żydzi z feodalnymi panami na podłożu wzajemnie sobie świadczonej pomocy niejako pakt, co łagodziło napięcie zdawna zakorzenionego religijno - narodowego antagonizmu, a żydowskiej ludności zapewniało ochronę przed ekscesami katolickiego gminu". [4])

Przymierze żydowskiej i gojowskiej burżuazji średniowiecznej przeciw „katolickiemu gminowi" mniej się zaznaczało w miastach nadreńskich i na ziemiach mówiących twardem narzeczem *langue d'oil*, ale i tam postać żydowskiego kupca, lekarza czy bankiera - wekslarza chętniej była widziana, a częstokroć i życzliwiej witana, od niosącego na ustach wezwanie do opamiętania się i pokuty mnicha, czy skarżącego się na ciężki los wolnego lub pół - wolnego wasala, kmiecia czy rzemieślnika.

Pomyślne osiągnięcie pierwszego etapu walki, ułatwiało następny, którym było zniszczenie moralnych i etycznych podstaw narodu rdzennego. Już św. Agobard biskup lioński skarży się w swej *De Insolentia Judeorum* na zgubne skutki zwątpienia umiejętnie sianego w sercach i umysłach maluczkich przez żydów, podważających, z takim trudem wszczepiane w pogańskie lub w barbarzyńskie do niedawna dusze, zasady katolickiej wiary. Rozwój talmudycznej scholastyki w ciągu wieków późniejszych zadanie to znakomicie ułatwiał. Coraz śmielej i zawzięciej poczynają rabini przy lada okazji wyciągać duchownych i świeckich na dysputy przyczem:

> „nie zadawalali się oni obroną przed zarzutami wytaczanymi przeciw żydostwu, lecz przechodzili także często sami do ataku i zwalczali w gienialny sposób najistotniejsze podstawy nauki Chrystusowej". [5])

Tajemnica Trójcy Świętej, Niepokalane Poczęcie Najświętszej Marii Panny, boskość Jezusa Chrystusa oto główne tematy dysput. Trzeba zaś pamiętać, że w tych słownych walkach stawali często - gęsto z płomienną jedynie wiarą w sercu i w misyjnem uniesieniu braciszkowie czy świeccy, ledwie Pater Noster i Ave Maria odmówić umiejący, przeciw żydom od dziecka w talmudycznej dialektyce ćwiczonych. To też rezultaty tych dysput, przybierających w pewnych okresach nagminny wprost charakter, nie dawały na siebie długo czekać. Zwątpienie religijne i rozprzężenie moralne, którego widownią stała się zwłaszcza południowa Francja w X—XII w. niewątpliwie ma u źródła systematyczną żydowską akcję. A społeczny i anarchistyczny ruch Albigensów i Katarów, tak niedostatecznie jeszcze przez historyków zbadany, miał zgodnym zdaniem Grätza i Dubnowa [6]) liczne związki z żydami, a najlepszą doń ilustracją niech będzie cytowany przez Dom Vaissett'ea § 13 wyznania Albigensów, głoszący wyraźnie wyższość żydowskiego zakonu nad chrześcijańskim. [7]) Dziwnym zaś zbiegiem okoliczności

---

[1]) Por. Dubnow op. c. IV. 326—7.

[2]) Por. Dubnow op. c. IV. 147.

[3]) Dobrowolne zamknięcie się żydów w ghettach na terenach diaspory podkreśla Zieliński (Hellenizm a Judaizm t. I. str. 171 (Fakt ten przyznaje również szereg żydowskich autorów jak np. Bernard Lazare, *L'Antisemitisme, son histoire et ses causes, Paris 1934*, t. I. str. 74,... „*ils vivaient dans des quartiers spéciaux, s'enfermant eux-mêmes*". Leon Bardinet, *Revue des Etudes Juives* t. I. str. 267—8. „*Dans toutes les villes ou ils se sont établis, soit dans l'antiquité, soit au moyen-âge, les Juifs ont habité un quartier a part*"... *Telle nous semble avoir été l'origine du Ghetto ou Juiverie*". J. Juster op. c. II. 177—167, „*Les Juifs aimaient toujours habiter ensemble... par endroits, ils demandait, comme une faveur le droit d'habiter un quartier spécial. C'était un privilége qu'on leur accordait et non une déchéace dont on les frappait*".

[4]) Dubnow op. c. IV. 131.

[5]) Dubnow op. c. IV. 290.

[6]) Grätz op, c. , Dubnow op. c. IV. 13.

[7]) „§ XIII *Quod lex judeorum melior est quam christianorum*". *Dom Vaissette. Histoire de Languedoc.*

terytoria najbardziej opanowane przez herezje, były zarazem temi, na których znajdowały się najliczniejsze i najbogatsze ghetta i gdzie żydzi największym cieszyli się poparciem panów feudalnych. [8]) Najwybitniejsi protektorowie Albigensów Rajmund hrabia Tuluzy i wicehrabiowie z Beziérs byli zarazem gorliwymi opiekunami żydów, wypuszczali im oni na swych lennach w dzierżawę nietylko cła, myta i podatki — rzecz normalna we wczesnym średniowieczu, ale i powierzali niejednokrotnie sprawowanie odpowiedzialnych funkcyj wysokich urzędników administracyjnych.

Równolegle z akcją niszczenia od wewnątrz społeczeństwa rdzennego, drogą systematycznego burzenia fundamentów, tworzących moralne podstawy jego egzystencji, oraz przez korumpowanie i demoralizację warstw kierowniczych, nie zaniedbywali żydzi żadnej okazji, by ściągnąć na młode państwa chrześcijańskie wszelkich możliwych „nieprzyjaciół Chrystusowego imienia". Kroniki i dokumenty tych czasów podają nam dokładnie liczne przykłady knowań i zdrad żydowskich, prób i wysiłków zmierzających do zjednania sobie zbrojnej pomocy władców przeróżnych muzułmańskich państw i państewek. Niema bodaj innego przykładu, by jakieś źródła historyczne były atakowane i kwestionowane w swej wartości dowodowej z równą siłą i zaciekłością, jak właśnie te, które zawierają jakąkolwiek wzmiankę o żydowskiej zdradzie. Oficjalni historycy stworzyli i narzucili teorię o żydach - barankach, zajętych wyłącznie sprawami swego kultu, w pocie czoła pracujących na chleb codzienny, całkowicie obojętnych na wszelkiego rodzaju wewnętrzne i wzajemne walki i tarcia narodów rdzennych. W imię tej teorii mieli by być żydzi jedynie niewinnemi ofiarami ciemnych sfanatyzowanych tłumów, podburzanych świadomie przez równie ciemnych i sfanatyzowanych mnichów, lub chciwych łatwego łupu rycerzy, dla ułatwienia zadania nie wachających się przed ciskaniem na lud Izraela najokropniejszych oskarżeń i kalumnij. Utrzymanie tej teorii, będącej jednym z fragmentów ogólnej doktryny o „barbarzyństwie średniowiecza" nie wydaje się już możliwym. Przeczy jej przedewszystkim zdrowy rozsądek nie dopuszczający myśli by w śmiertelnej walce z chrześcijaństwem wyrzec się miało żydowstwo całkiem naturalnego dążenia do wyzyskania w charakterze sprzymierzeńców wszelkich przeciwników swego największego wroga, by miało pozbawić się dobrowolnie możności korzystania z środków służących do jego osłabienia czy zguby.

Możliwe, że ten czy ów wypadek „zdrady" jest wytworem bujnej wyobraźni mniej sumiennego kronikarza, lub że miał nawet za przyczynę fałszywe oskarżenie, rzucone może właśnie przez tych, którzy dopuściwszy do niesłychanego zbogacenia się żydów, szukali później łatwej okazji do zdobycia ich majątków, ale nie ulega żadnej wątpliwości, że w walce jaką przez całe średniowiecze toczyły pod kierownictwem i z inspiracji Kościoła Katolickiego narody rdzenne z żydowstwem, to ostatnie używało zdrady, jako stałego i wypróbowanego środka walki. Rozpoczynają cykl podczas najazdu arabskiego na Hiszpanię słynna krwawa zdrada toledańska, którą krótko tak opisuje żydowski historyk:

„Podczas gdy chrześcijanie wzywali w kościołach opieki boskiej (niedziela palmowa roku 712) żydzi otworzyli bramy miasta wodzowi arabskiemu, witając go jak wyzwoliciela". [9])

Owoce tej zdrady nie były ladajakie. Dostała się bowiem wówczas:

„wizygocka Hiszpania pod panowanie Arabów, które niosło wyzwolenie ciężko uciskanemu żydostwu. Jest to zarazem punkt zwrotny w historii żydów w Europie. Okres kolonizowania dobiega końca i rozpoczyna się okres organizowania". [10])

Okres ten zakończyć się miał w państwach zachodnio - europejskich powszechnym wygnaniem żydów. Kto wie, czy takie właśnie zakończenie nie stało się możliwym tylko dlatego, że załamała się uprzednio nowa wielka inwazja, tym razem od wschodnio - południowej ściany — najazd Mongołów. Na zdradę podobną do tej z przed pięciuset lat nie mieli wtedy żydzi okazji. Dostarczali zato Tatarom dobrą, przez chrześcijańskich płatnerzy kutą, broń. [11]) Kto wie, czy nie od tej, potajemnie w beczkach od wina przemycanej, broni ginęli potem na Legnickim polu polscy rycerze z Henrykiem Pobożnym na czele.

Wszelkie uwagi na temat francuskiego żydostwa średniowiecznego nie były by kompletne i zupełne bez podkreślenia jego wybitnie talmudycznego charakteru. Rozłam, wywołany skodyfikowaniem doktryny rabinicznej, słabym echem odbił się na zachodzie Europy. Ruch Karaitów, nie uznających autorytetu Talmudu i opierających się jedynie na księgach Starego Testamentu, nie miał żadnego powodzenia wśród żydów francuskich i niemieckich. Przeciwnie, przyjmuje się wśród nich w najlepsze doktryna rabiniczna, a południowo - francuskie i nadreńskie ghetta (juderia, juiveries, judenviertel) stają się prawdziwymi miastami Talmudu, w których swobodnie rozkwita jego egzegeza, ustalają się obowiązujące żydostwo całego świata poglądy i krystalizuje na długie wieki psychika talmudycznego żyda. Podjęta przez Mojżesza Majmuniego i jego uczniów próba „helenizacji" Talmudu zduszona zostaje doszczętnie klątwami rabinów. Nie należy jej zresztą utożsamiać czy nawet upodabniać do jakiejkolwiek próby „umoralnienia". Był przecież Majmuni wybitnem zwolennikiem „podwójnej prawdy", wyznawcą żydowskiego mesjanizmu i wiary w opanowanie świata przez Izraela. Reforma jego zmierzała do usunięcia z obowiązującej doktryny tego wszystkiego, co sprzeczne w niej było ze zdrowym rozsądkiem i co zbyt raziło umysły kształcone na arystotelesowskich pismach i „skażone" logiką greckiego filozofa.

Tryumf rabinizmu narzucający ślepe, bezwzględne posłuszeństwo każdej literze Talmudu, w połączeniu z coraz bardziej rozwijającym się wpły-

[8]) Dubnow op. c. IV. 17.

[9]) *"Pendant que les chrétiens invoquaient, dans les églises, la protection divine (dimanche des Rameaux de l'an 712) les Juifs ouvrirent les portes de la ville au général arabe, qu'ils acclamérent comme un libérateur"*. por. Dubnow op. c. IV. 88.

[10]) Dubnow op. c. IV. 13—14.

[11]) Kronika Mateusza z Paryża. Wspomina o straceniu w 1241 r. kupców żydowskich, u których znaleziono podczas rewizji celnej na granicy w beczkach od wina broń, przeznaczoną dla Mongołów. Wiadomość powtarza niemiecka kronika *Gesta Trevirorum*. por. Dubnow op. c. V. 163. i Bresslau. *Juden und Mongolen in Jahre 1241, Zeitschr. für die Gesch. der Jud. in Deutschland* t. I. str. 99—102.

wem Kabały, wtrącił całe żydowstwo na długie wieki w otchłań ciemnoty i zabobonu oraz sprawił, że jeśli mówić można o t. zw. barbarzyństwie średniowiecznym jako cesze ogólnej pewnego okresu dziejowego; to przedewszystkiem i tylko w odniesieniu do ghett żydowskich, tego co się w nich działo i co stanowiło całokształt pojęć, wierzeń i wyobrażeń ich mieszkańców.

Trzeba jednak podkreślić, że tylko takie zupełne odcięcie się od wszelkich wpływów i kontaktów duchowych z organizującym się światem chrześcijańskim, oraz zamknięcie się wyłączne a bezwzględne w murach ghetta, symbolicznie niejako reprezentujących owe dźwigane rękami rabinów „ogrodzenie dokoła zakonu" dawało żydowstwu potężne poczucie jednoplemiennej spójni, wiarę w przyszłość i moc wytrwania w najcięższych nawet warunkach.

Ekskluzywizm, wywodzący się z etyki Talmudu, bogactwo zdobyte i utrwalone kosztem ogólnej nędzy rdzennej ludności, systematyczne jej demoralizowanie, tak w górnych jak i najniższych warstwach jawnie wrogie wreszcie działanie na szkodę chrześcijaństwa doprowadzić musiały do obrony a następnie i kontrakcji narodów organizujących się zwolna w formach państwowych, a w ramach i na podłożu Chrystusowej Nauki. Naturalnym rzeczy porządkiem pierwsze uderzenie miało miejsce tam, gdzie żydzi umieli się najwięcej rozpanoszyć i gdzie znajdowało się ich polityczno-religijne kierownictwo. Trzeba przytem podkreślić, że pierwszą na większą skalę próbą zniweczenia żydowskiej hegemonii nie kierowała świadoma wola tych, co w swych rękach mieli wówczas władanie nad pospolitą rzeczą i trzymali ludzką sprawiedliwość, ale, że wpisała kwestię żydowską na porządek dzienny historii reakcja owego „katolickiego gminu", który tak długo i posłusznie potrafił kompetentnym zdaniem żydowskiego historyka utrzymać w ryzach „pakt przyjaźni" *(Freundschaftbündis)* żydowskiej burżuazji ze świeckimi, a nierzadko i duchownymi możnowładcami. A był widać ten pakt równie silnym jak głęboko zapomnianymi antyżydowskie uchwały synodalne i przestrogi zawarte w pismach biskupów: św. Agobarda, Amulona, Hinkmara, Raban Maura i innych, skoro niebezpieczeństwo żydowskie przypomnieć musiał światu dopiero krwawy blask płonących ghett i jęk padających pod ciosami krzyżowców ich mieszkańców. Odpowiedzialność za to, ponoszą jedynie ci, co dopuściwszy do niebywałego wzrostn wpływów i żydowskiej potęgi materialnej zapewniali im później opiekę i obronę. Oni to sprawili, że masy spieszące na krańce ówczesnego świata po wyzwolenie Grobu Chrystusowego musiały zaczynać od walki z najbliższym wewnętrznym najeźdźcą i że walkę tę prowadzić musiały z konieczności tak, jak umiały i mogły, w pozaprawnych, rewolucyjnych formach.

I miały widać w akcji swej, jeśli chodzi o jej istotną treść t. j. o walkę z zalewem żydowskim, rację, skoro ci nieliczni, co wrócili szczęśliwie z ziemi Świętej, nie potrzebowali już podkładać płonących żagwi pod żydowskie domy ni mieczem rozwalać murów ghetta. Poczynała bowiem skutecznie hamować dalszy rozrost żydowstwa kosztem narodów rdzennych i zapewniała tym ostatnim możność pomyślnego rozwoju ustawa pisana, na straży której stanął i posłuszeństwo zapewniał miecz władzy świeckiej. To odradzający się po klęskach wieku X-go Kościół Katolicki i dźwigające się do życia narody rozpoczynały próbę własnego rozwiązania kwestii żydowskiej. Próba ta na ziemiach „słodkiej Francji", jak i w innych krajach zachodniej Europy kończyła się wszędzie wygnaniem żydów. Taki rezultat wysiłków, zmierzających do znalezienia jakiegoś *modus vivendi* z ludem Izraela nie był dziełem jednego człowieka, ani jednej chwili, poprzedzał go szereg prób zdążających do innego, mniej radykalnego rozwiązania. A chociaż nie doprowadziły one do pozytywnych wyników, przypomnienie ich dzisiaj może mieć wartość dokumentu nietylko dla historyków.

ANDRZEJ SZUMOWSKI

DOLA LUDU W „LUDOWYM RAJU"

TYM, którzy wierzą jeszcze, że w Z. S. S. R. potrafiono stworzyć nowe formy życia dla d o b r a rosyjskiego ludu—radzę przeczytać książkę J. A. Ławrowa, która ukazała się w końcu roku 1933 nakładem wydawnictwa M. W. Zajcew w Charbinie p. t. „W kraju eksperymentów" („*W stranie eksperimentow*"). Zawiera ona 380 stron druku wspomnień autora, byłego zastępcy ludowego komisarza skarbu buriacko-mongolskiej autonomicznej Sowieckiej Socjalistycznej Republiki (Syberia).

Autor w czasie przed rewolucją był wyższym urzędnikiem rosyjskiego ministerstwa skarbu. W książce swej daje się poznać jako typowy inteligent przedwojennej Rosji, doświadczony i sumienny specjalista, który oddawszy swe siły służbie nowych włodarzy Rosji nie znalazł w jej ramach żadnej możliwości do celowego zużytkowania swoich wewnętrznych wartości. Dzieląc po rewolucji normalny los większości inteligencji rosyjskiej, trafia kolejno bądź do więzienia, bądź znowuż — nawet na wysokie stanowiska urzędnicze, zanim szczęśliwy splot okoliczności nie pozwolił mu już jako starcowi, w r. 1934 opuścić na zawsze pogrążonej w nieszczęściu ojczyzny.

Z epickim spokojem opowiada autor o porządkach i działaczach nowego *regime'*u. Rzeczywistość sowiecką widzimy jako metodyczny gwałt nad prawami i dostojeństwem narodu. Nie braknie w książce szeregu wstrząsających faktów, które obnażają zupełnie życie w Sowietach. Więzienie, w którem na lata może być człowiek zaprzepaszczony, Rada komisarzy ludowych — powierzchowna i szybka w działaniach, pozbawionych jakiegoś poważniejszego i gruntowniejszego opracowania, zyski z wódki, stanowiące omal że nie wyłączną podstawę budżetu państwa, kierowanego przez rząd robotniczo-włościański, osławione G. P. U. w nowej roli przedsiębiorcy, prowadzącego restauracje z dziewczętami lub też podejmujące się prac leśnych i górniczych, wydobywania złota i t. p.

Wiele osobistych przeżyć autora wywiera silne wrażenia wobec wyjątkowej bezpośredniości i prawdziwości ich opisu.

Oddzielnym, całkiem nowym tematem książki są wspomnienia autora, dotyczące autonomicznej Buriacko-Mongolskiej Sowieckiej Socjalistycznej Republiki na Syberii.

Organizacja władzy i życie w autonomicznych republikach w dotychczasowych wydawnictwach o Sowietach pozostawały niemal nietknięte. Polityka w stosunku do lokalnych republik narodowych, wyplenianie w nich elementów narodowej kultury rosyjskiej, przy równoczesnem zasilaniu rozkładowych wpływów komunistycznych, doznały w książce gruntownego i przekonywującego oświetlenia.

Nader interesujące są poszczególne epizody obserwacji i przeżyć autora, których kilka dla przykładu przytoczyć w tem miejscu warto.

W drodze z Syberii do Moskwy za Nowosybirskiem widział autor, znane pod tą nazwą powszechnie w Sowietach „pociągi śmierci" zapełnione wysiedlonymi ze stałych miejsc zamieszkania wyzutymi z praw chłopami t. zw. „liszeńcami". Są to dawni zamożni chłopi—„kułaki" lub też tacy, którzy przekształcili się w „liszeńców", dzięki ich odmowie wstąpienia do kołchozu i upieraniu się w chęci prowadzenia po dawnemu gospodarstwa prywatnego.

Towarowe wagony takich pociągów przewożą „liszeńców" wraz z ich rodzinami, a w kilkunastu wagonach na końcu pociągu mieści się cały ich dobytek: konie, wozy, brony i inne narzędzia rolnicze. Drzwi wagonów nazewnątrz są pozamykane, a uzbrojona straż pilnuje pociągu. Z maleńkich okienek-otworków wyglądają blade twarzyczki dzieci, niekiedy—jakaś baba lub chłop, którzy na pytania podróżnych — skąd? przy protestach straży wołają: „z pod Charkowa, z Orłowskiej gubernii" i t. p. Tych ludzi wieziono zamkniętych i stłoczonych jak bydło, w warunkach, urągających wszelkiej higienie, bez wody do mycia się i do picia, bez możności opuszczenia wagonu, całemi tygodniami bez najprymitywniejszych choćby urządzeń sanitarnych. Zagłodzeni uważali za szczęście, gdy chociaż raz na dzień dawano im wrzątek.

Choroby i śmierć dziesiątkowały tych podróżnych, a ci co wyszli z życiem, z trudem się dobijali o zabranie trupów z wagonu. W mrozy powiększał się zastęp ofiar, które zamarzały w nieopalanych wagonach, a pilnująca ich straż, jak stwierdzali naoczni świadkowie, odmawiała wynoszenia i zakopywania zamarzniętych „liszeńców". Takimi środkami niszczy rząd, mianujący się robotniczo-„włościańskim", włościaństwo jako warstwę, przepojoną tendencjami do własności prywatnej i słabo przyswajającą sobie „ewangelię Karola Marksa".

Na tym samym odcinku podróży autora w r. 1932 na wszystkich dłuższych postojach pociągów wagony podlegają kontroli funkcjonarjuszów G. P. U., którzy wysadzają wszystkich chłopów starszych lub—w podeszłym wieku, nie mogących wykazać się przy legitymowaniu jakiemiś szczególnymi dokumentami od władz gminnych, poświadczających cel podróży. W ten sposób władze dokonywują obławy na chłopów, którzy w swoim czasie, uciekając z miejsc zamieszkania, usiłowali uratować się przed skutkami powszechnie wówczas przeprowadzanego „rozkułaczenia" a więc — przed „liszeństwem" i wysyłką na nowe miejsca.

Kiedyindziej znowu w drodze powrotnej z Moskwy natknął się autor na Syberii w czasie postoju na małej stacji na jeszcze inny pociąg: przywiózł on Jakutów z odległego stamtąd o 4,000 klm. ich polarnego kraju. Nieszczęśliwi, otoczeni wzmocnionym oddziałem straży byli zajęci wyładowywaniem z wagonów swego bagażu, przygotowując się do wymarszu do pobliskiego obozu koncentracyjnego, stanowili oni również kategorję „rozkułaczonych" jakutów i tunguzów, uznanych przez władze za „liszeńców". Nie oszczędzono nawet tych spokojnych nomadów polarnego kraju, skazując ich na męki i na nieuniknioną szybką śmierć w warunkach obozu koncentracyjnego.

Przytoczymy kolejno jeden z przykładów autora, świadczących o stosunkach w zakresie pomocy lekarskiej ludności, udzielanej przez Kasy Chorych. Przechodząc korytarzem w ambulatorium Kasy Chorych w Irkucku, autor spostrzegł olbrzymią gromadę młodych kobiet, zapełniających nietylko poczekalnię przed gabinetem lekarza, ale i cały obok niej korytarz. Ten tłum, w liczbie niemniej 150 osób, oczekiwał w kolejce—jak autorowi książki wyjaśniono — już zgórą kilka godzin na otrzymanie... prawa na spędzenie płodu, w czem pomoc bezpłatna dla wszystkich nie jest dostępna, lecz ograniczona do rzędu kobiet, pracujących w fabrykach oraz niepełnoletnich.

Odmowa udzielenia pomocy w tym zakresie pozostałym kobietom, jest widocznie podyktowana—konkluduje autor—pojęciami walki klas i chęcią utrudnienia i bez tego ciężkich warunków bytu burżuazyjnych i inteligenckich warstw społeczeństwa, jako że ustawodawstwo sowieckie przyznało wszystkim bez wyjątku kobietom prawo do spędzania płodu, które w życiu sowieckiem, w związku ze stopniową zmianą pojęć moralnych, stały się normalnem zjawiskiem. Charakterystyczne przy tem, że według opinii lekarzy, kontyngent stosujących zabiegi spędzenia płodu składa się przeważnie, jeśli nie wyłącznie z Rosjanek, gdyż widocznie kobiety innych narodowości, jak Jakutki, Tatarki, Buriatki, szczególnie zaś żydówki z własnej woli zabiegów przeciwporodowych nie stosują.

Wśród szeregu obrazów z przeżyć autora przytoczę jeszcze jeden:

„Moje stanowisko zastępcy komisarza ludowego wymagało brania udziału w bankietach wydawanych na cześć gości zagranicznych, jak np. na cześć znanego chińskiego generała Fyn-Jan-Sjana i t. d., lecz i w takich uroczystościach, które wywoływały odrażające wrażenia.

Kiedyś byłem zmuszony do wzięcia udziału w uroczystościach 10-lecia istnienia G.P.U. (dawna „czeka") w naszej młodej republice.

W liczbie wyróżnionych na tej uroczystości czekistów szczególnem uznaniem cieszyła się „towarzyska K.", która w dniu tym uzyskała tytuł „pierwszej czekistki".

Na estradzie stanęła wysoka, pełna kobieta lat około 35, o wielkich oczach i niewątpliwie

pięknych niegdyś rysach wybitnie żydowskiej twarzy i wyraziła gotowość podzielenia się z obecnymi swemi wrażeniami, o co audytorium bardzo prosiło.

Rozpoczęła opowieść ze wszelkimi szczegółami o tem jak to w początkach walk rewolucyjnych na Syberii, wypadło jej wówczas młodej i ładnej dziewczynie, pod pretekstem zwykłej prostytutki odwiedzać po nocach „siemionowców" i „kołczakowców", przepędzać z nimi noce w koszarach lub w namiotach w jedynym celu wydobycia informacyj w chwilach uniesień, od ludzi oszołomionych przez nią pijaństwem do utraty przytomności, o zamierzonych przesunięciach oddziałów, o marszrutach, o wystąpieniu artylerii, przyczem stale wypadało udawać jaknajwiększe przejęcie się celami ruchu „białych".

A w rezultacie na mocy dostarczanych przez nią informacyj oddziały „białych" były spotykane salwami tam, gdzie nie dały się one przewidzieć, lub nie znajdowały wroga tam gdzie zamierzały dokonać nieoczekiwanego napadu. Rezultatem każdej takiej jej wizyty były stosy trupów „białych" lub „wyzwalanie" z pośród „białych" tych, któktórych sympatie dla „bolszewizmu" czekistka ta stwierdziła.

Słuchając zwierzeń tej kobiety, nie wierzyłem własnym uszom, gdyż cynicznie szczere wspominanie w obecności wielkiego audytorium najintymniejszych przeżyć, opowiadanych z całym naturalizmem, było czemś, z czem się dotąd nie spotykałem. Pierwszy raz w życiu widziałem tego rodzaju typ kobiety.

Gdy skończyła swą opowieść, i gdy zeszła z estrady nagrodzona oklaskami, nie byłem z uczucia wstydu zdolnym spojrzeć jej w oczy.

A wśród publiczności był obecny jej mąż. I on bił brawo tej „żonie", która w taki sposób zyskała tytuł „pierwszej czekistki".

Kobieta ta w uznaniu jej zasług została mianowana kierowniczką „ruchu kobiecego" w naszej republice".

Wnikliwe są obserwacje autora nad administracją sowiecką, wśród której sam poruszał się przez blisko 14 lat. Kierowana przez międzynarodową zbieraninę niewiadomego pochodzenia, przeważnie żydów, skierowuje wszystkie wysiłki do zgnębienia poczucia narodowości rosyjskiej w ludności wszystkich republik związkowych, stosując w tym celu najskuteczniejsze środki ucisku gospodarczego. Aktualność poruszonego tematu również i w Polsce, winna wywołać szersze zainteresowanie polskiej publiczności książką autora.

Ten człowiek, gorący patriota rosyjski, który zbliska przyjrzał się wzdłuż i wszerz kraju praktycznej gospodarce i stosunkom sowieckim, głęboko rozgoryczony nieszczęściem swej ojczyzny, na zakończenie swych wspomnień tak oskarża komunistów:

Co dali oni narodowi w rzeczywistości? Można orzec, bez przesady, że ich pojawienie się na historycznej widowni przyniosło Rosji: stosy trupów, morze krwi, zwiększające się z roku na rok niedojadanie ludności, klęskę głodu w poszczególnych okręgach i całkowite zubożenie większości mieszkańców kraju, odebranie chłopom ziemi, okrutny system robót przymusowych przy organizowanych przez państwo pracach, wyczerpanie skarbowych zasobów, zwiększoną militaryzację i pozbawienie ludności wszelkich elementarnych swobód przy pełnem pozbawieniu godności osobistej, czego wynikiem—zanik moralności.

Powyższe wyliczenia naocznie dowodzą całkowitej niezastosowalności w życiu teorji Marksa, w każdym razie — dla współczesnego stadium istnienia ludzkości, jako że plan komunistów, marzących o efektownych wynikach wprowadzanego przez nich gospodarstwa komunistycznego nie udał się, nie zważając na użyty przez nich bohaterski nakład sił ludzkich...

Dla każdego obiektywnego widza jest jasne, że ustrój komunistyczny nie usprawidliwił swego powołania, skoro, nie zważając na rzekome powodzenia, o których komuniści rozgłaszają na cały świat, ludność kraju, w ciągu długich lat niezakłócanego wojną zewnętrzną życia, nie dojada, a nawet masami wymiera z głodu, skoro ta ludność w ciągu dziesięciolecia nie może uzyskać przedmiotów pierwszej potrzeby, które dawno znikły z sowieckiego rynku, i w końcu, skoro ta ludność, w czasie sprawowanej przez komunistów władzy, z wolnych ludzi przekształciła się w pozbawionych głosu, doprowadzonych do ludożerstwa niewolników. I jeśli ten nie mniej nieudany eksperyment trwa nadal, mimo całkowitego zniszczenia kraju i zguby wielu milionów ludzkich istnień, to każdemu wolno sądzić, że eksperymentatorzy są zainteresowani w przedłużeniu swego doświadczenia wyłącznie jako — w środku usprawiedliwiającym dalsze piastowanie przez nich władzy.

Ci wielcy i mali satrapi ziemi rosyjskiej jako ludzie małoduszni, o niemoralnej w przeważającej mierze przeszłości, nie posiadają ani silnej woli do wyrzeczenia się kuszących wspaniałości ich despotycznego urzędu, ani honoru i odwagi do tego, aby się przyznać do swoich zasadniczych błędów i stwierdziwszy, nieumiejętność kierowania państwem, — odejść na bok. Komunistyczna władza sowiecka stopniowo przekształciła się w najgorszego wroga rosyjskiego narodu, planowo i bezlitośnie naród ten tępiącego, dlatego też autor, podobnie jak i każdy Rosjanin, kochający ojczyznę, może do tej władzy żywić jedynie najgorsze, wraże uczucia, i pragnąć całą duszą i sercem, jak czyni to - według jego przekonania większość Rosjan, jak najszybszego jej końca.

K. S. Z.

„NAJDROŻSZA GŁOWA"

Pamięci Henryka Sienkiewicza

NIE KAŻDA wielkość znalazła godnego siebie portrecistę. Przeciwnie, raczej należy stwierdzić, że bardzo niewielu wielkich ludzi, wspaniałych głów, odtworzonych zostało w plastyce z wnikliwością sięgającą do samej istoty ich dusz, a w formie zdecydowanej i wyrazistej.

Wynika to przedewszystkiem stąd, że artysta wogóle, a portrecista w szczególności jest współtwórcą w dziełach bożych. Im większe więc dzieło Boga, tem większego wymaga współtwórcy-interpretatora. Człowiek wielki, człowiek geniusz, człowiek święty, są największemi dziełami Boga, największych też wymagają interpretatorów.

Częstokroć wielcy artyści współcześni wielkim ludziom nie zdołali nam dać wielkich portretów tych ludzi,—nie zawsze—nawet zdobyli się na godne siebie własne portrety. Pod tym względem niezwykle są pouczające dzieje autoportretu.

Antyrenesansowy przeciwnik portretu Michał Anioł zdobył się na taki portret, zdobył się nań Matejko, ale nie zdobył się Rafael portrecista zresztą znakomity, a nawet można wątpić, czy zdobył się Rembrandt mimo licznych swych i plastycznie wspaniałych autowizerunków.

Czasem trzeba było czekać wieki, zanim zjawił się twórca, który dał portret twórcy dawno nieżyjącego, choć w dziełach swoich, oraz ich wynikach tem potężniejszego. Wtedy to mimo możliwych najprawdopodobniejszych uchybień formalnych skażenia wierności „fotograficznej" występuje rzecz najważniejsza, wierność duchowa, spotęgowanie treści wewnętrznej.

Ze świętymi najtrudniej. Święty Franciszek Seraficki znalazł swoich portrecistów, św. Ignacy Loyola dotąd nie.

Z miernej, choć nie pozbawionej artystycznej wartości stelli grobowej w Zwoleniu Matejko stworzył wspaniały portret Jana Kochanowskiego—po trzech stuleciach.

Do tych wielkich naszych duchów, którzy najmniej mieli szczęścia do portretów należy Henryk Sienkiewicz.

Adam Mickiewicz miał swego d'Angers'a, Tepę a przedewszystkiem Grottgera, w ogólnej sylwecie choćby nawet M. Guyskiego. Zygmunt Krasiński miał swego Ary Scheffera, Sienkiewicz nie miał za życia, ani dotąd nikogo. Jeszcze najbardziej pozwala wnikać w oblicze i oczy Sienkiewicza portret Pochwalskiego, ale od wielkości i przebogatej wszechstronności duszy Sienkiewiczowskiej jest on bardzo daleki.

Coprawda głowa i twarz Sienkiewicza tak jasna, prosta i piękna w swej plastyce, należy do najtrudniejszych w rozwiązaniu duchowem, jak do najtrudniejszych należy jego jasna, prosta i szczytna twórczość.

Niegdyś w słoneczne dni Hellady w obliczu Partenonu i jaśniejących marmurów Fidiasza Perykles powiedział niezapomniane słowa: „Największe piękno jest w jego prostocie".

Słowa te stosują się do nielicznych geniuszów twórczych, a wśród nich stosują się one do Henryka Sienkiewicza.

Przed laty Stanisław Witkiewicz w rozmowie ze mną oskarżał oblicze Sienkiewicza, że jest takie spokojne, takie niezmienne, rzekłbyś obojętne, czy zastygłe w wyrazie. A mówił to artysta, który w swoim czasie dał miły portrecik młodzieńczego „Litwosa". A mówił to artysta i krytyk, który był wielbicielem wynalazku fotografii, — martwego dokumentu przyrody, — krytyk naturalista.

Przed nami płonął oblany purpurą zachodu spokojny szczyt Murauda. Dla krytyka z doby pozytywizmu, wielbiciela szczytów tatrzańskich, obcym był szczyt głowy i oblicza wielkiego snycerza duszy narodu. Te wyżyny już były dla niego nieosiągalne.

Istotnie oblicze Sienkiewicza jest trudne do rozwiązania i odtworzenia w całej jego głębi. Zdaje się ono być jednolicie stężałe. To wyniosły wirch Himalajów w błękit nieba wtopiony w blasku słońca jaśniejący. Chmury się kłębią, łyskają błyskawice, grzmoty grzmią u stóp tego szczytu, ponad niższemi grzędami garbów górskich w zakrętach dolin ciemnych. Kiedy zmienna wichura namiętności nizkich i szlachetnych we wstrząsach niepokoju szarpie twarzami bohaterów ziemskich, ponad to się wznosi czoło mędrca Platona i jeszcze wyżej oblicza chrześcijan spokojne, oblicza dusz, które wszystko oddały Bogu.

A czy te oblicza są martwe? — Nie! — W ich spokojnem zwierciadle toczy się, rozwija życie najpełniejsze i życie najwyższe. Czasem drgnienie powieki, lub ust, błysk oka subtelny, gdy wykwitnie, odsłania cząstkę tych głębi nieprzeniknionych, strzela promieniem o mocy przedziwnej.

To są rzeczy dla plastyka najtrudniejsze.

Piękna głowa twórcy „*Quo Vadis*" ma w swym całokształcie, w swych zarysach coś klasycznego, helleńskiego, a nawet nieco rzymskiego. Wyrazistość i czystość rysunku cyzelowanego podobna jak u Cezara. Czoło i łęk brwiowy raczej Augusta. Tylko to wszystko łagodniejsze, bardziej słowiańskie, wprost... polskie. — I bardziej przeduchowione.

Jest to głowa i oblicze wysokiej subtelnej rasy, na którą się złożyła wielowiekowa praca ducha, polot myśli i bicie serca. Jest to twarz artysty, miłośnika harmonii formy, możnaby rzec parnasisty, gdyby nie to głębokie tchnienie ducha, które owiewa je jakąś subtelną, tęskną a świeżą mgłą porankową.

Jest to twarz nawskroś chrześcijańska, taka jaką potrafi urobić tylko duch kultury katolickiej.

Niektórzy artyści pod wpływem twórczej sugestii „Trylogii" próbowali ubrać Sienkiewicza w hełm i zbroję husarską. Wypadało niezbyt fortunnie, może dla tego, że nie byli to artyści najwyższej miary, a może dla tego, że na tę wielką i skądinąd trafną koncepcję nie przyszedł jeszcze

czas, jeszcze nie zjawił się artysta, któryby ujrzał wizję Skargi ze słowem twórczem na ustach.

W każdym razie kiedy się myśli o pomniku dla tego, który wywołał przed dusze nasze „świętą i wielką przeszłość”, wyobraźnia chętnie się snuje wokół takiej właśnie koncepcji rycerskiej. Byłaby ona trafniejszą, niż nieudany bydgoski pomnik wybitnego zresztą i subtelnego rzeźbiarza Laszczki. Jednak na to potrzebaby było chyba Buonorotti'ego.

Któryż z bohaterów dziejowych epopej autora „Krzyżaków”, wciela się w samego twórcę? Do którego on jest najpodobniejszy? Jest jeden taki rycerz bez skazy. Sienkiewicz ma głowę i oblicze Jana Skrzetuskiego. Ma się wrażenie, że duch ich obu jednako ukształtował, na twarzach ich też jednakie musiał wycisnąć znamię.

Sienkiewicz-Skrzetuski jest Polakiem z krwi i z kości, a nadewszystko z ducha. Dla tego to mimo licznych rysów klasycznych i renesansowych, każdy na rzut pierwszy oka, dostrzeże tę uderzającą, prawdziwą polskość pięknej i szlachetnej głowy.

A jest to głowa przy całej swej polskości istotnie renesansowa, chętnie by się ją widziało w obramieniu tej kryzy, którą nosił Tasso lub Kochanowski. Istnieje wspaniały portret Tycjana, który z małemi zmianami mógły być portretem Sienkiewicza. Portret ten w swej majestatycznej, prawie monumentalnej, a tak właściwej Vocellemu kompozycji, zdobi galerię Pitti we Florencji. Subtelna w głębokim, a łagodnym wyrazie, wytworna w swym rysunku i budowie głowa młodego weneckiego patrycjusza zdaje się być transpozycją sienkiewiczowskiej głowy. Jaka szkoda, że mistrz renesansu w czarownej Wenecji nie mógł widzieć autora, widzenia „na Olimpie”, — lub, że schyłek zeszłego stulecia nie miał swego Tycjana, a Sienkiewicz musiał pozować do słabego portretu jędrnemu spadkobiercy tycjanowskiej kolorystyki — Wyczółkowskiemu.

Pod spokojnemi, nieomal architektonicznie wyrazistemi formami polsko - klasycznej głowy i twarzy, w głębi ócz czai się skryta moc uczucia i myśli.

Przedewszystkiem tak, jak to widzimy w portrecie Pochwalskiego, w niektórych fotografiach z rozlicznych okresów twórcy „*Quo vadis*“, a nadewszystko, jak przypominamy z życia, pod majestatem tego spokoju mieści się głębia myśli mędrca.

Tak, myśl; i to myśl przenikliwa, jasna i mądra,—co więcej myśl nie obojętna i zimna, ale dziwnie uczuciowa, współczująca, serdeczna, promieniuje z ócz i twarzy Sienkiewicza. W łagodnem jego spojrzeniu jest pewien z pogodą stapiający się smętek. To jakby wśród gajow i rozrzuconych lasów, lekkie falowanie pól rodzinnego Podlasia, kędyś pomiędzy Wolą Okrzejską a Łukowem, o porankowej porze na świtaniu. Zaduma myśliciela, który wzniósł się ponad troski i bóle ziemi, a jednak nie zerwał z niemi, jednak ma pełnię współczucia dla nich. Takim jest wyraz mędrca, który rozwiązał zagadkę nieprzemijającej, wiecznej wielkiej i szczytnej a twórczej miłości, który jako chrześcijanin z głębi duszy wzywał nas, abyśmy poszli „za Nim”, autorem „Dwuch łąk”.

Henryk Sienkiewicz, który, według własnych słów, rozczytywał się w „Żywotach świętych„ Skargi, czerpał z nich nietylko swoją pełną jędrnej prostoty i obrazowości wymowę, ale i tego przedziwnego ducha chrześcijańskiej mądrości spokojnej, a przecie serdecznej.

„Pokój zostawuję wam: pokój mój daję wam: nie jako daje świat, ja wam daję. Niech się nie trwoży serce wasze, ani lęka”. (Św. Jan XIV.27).

Pokój Chrystusowy spłynął na głowę jego i serce jego ani się trwożyło, ani lękało, — cisza spokoju osiadła na pięknem obliczu jego.

LUDOMIŁ SZRENIAWA-CZERNIEWSKI

APEL

Wielkości!

Unoszą się narody na sile ramion i serc,
bo pochód dziejów dostojny.
Na pobojowiskach już nie liczą kości,
lecz w przyszłość patrzą twardą powagą granicznych twierdz.

Niedługo historię zaboli stalowy uścisk wojny,
zmagać się zaczną patosy ramion, sztandarów i dusz.

Polsko —

jakże mi wielkość śpiewać mową osłabłą od piosnek?
Kwiatki liryczne nie zmienią kierunku wiejących burz!

Och, te strumyki i łezki zbyt srebrne i zbyt dzwoniące.
Łezki za prędko opadną, strumyki za prędko poschną...

Poeto, inaczej twórz!

Wiatr historii o szable w muzeach potrąca!
Nie czas w poezji na piosnkę!

Zbieram błyski orderów spod Ulmu i Radzymina,
niech sławą oświetlą wiersze!
Sztandary niech się rozwiną w zwycięską pieśń Matki Boskiej:
„Bogurodzica“.

Kwiatki liryczne więdną, łezki liryczne giną,
wiersz nie kołysze, lecz świeci —
a cała poezja się zmienia w wysokie jak wiara schody...

Polacy, na karkach osadźcie wolę zdobywczych głów!
Niech was do Wielkości powiodą
biało-czerwone ślady tych słów!

JERZY PIETRKIEWICZ

NA WIDOWNI

Rozkwit powieści publicystycznej.—ilustruje on kryzys elity.—Kierują dziś właściwie masy. — Dwa stanowiska wobec życia.—Oba dobre.—Trzeba tylko widzieć życie.

NIE TAK DAWNO przestudiowałem pierwszą powieść J. Strzembosza z zapowiedzianego przez niego cyklu.—Pisał już o niej rzeczową krytykę p. Jabłonowski i ja oczywiście drugi raz tego robić nie będę — ale chciałbym przy sposobności zwrócić uwagę na to niezmiernie ważne i znamienne dla naszych czasów zjawisko, jakiem jest owo rozwielmożnienie się powieści publicystycznej.

Jest to objaw bardzo dla naszego kulturalnego ruchu charakterystyczny i jak każde zjawisko społeczne nie stanowi rezultatu jakiejś mody, czy maniery literackiej, ale jest czemś o wiele głębszem i w pewnym sensie koniecznem. Beletrystyka publicystyczna kwitnie, ponieważ życie odbija się w literaturze i ma taką literaturę, jakiej pragnie. Ogół dzisiaj pragnie takiej powieści i ma ją.

O czemś co jest oczywiste i głęboko uzasadnione trudno nieraz powiedzieć czy to dobre, czy złe. Jeżeli gdzie, to przedewszystkiem w zjawiskach społecznych zrozumieć znaczy przebaczyć — ale jednak abstrahując od tego rodzaju sądów, wydaje mi się niezbitem, że dla charakterystyki naszej teraźniejszości ów rozkwit powieści publicystycznej stanowi cechę ujemną — świadczy on bowiem o pewnych niedomogach kulturalnych i to takich, które najlepiej określić owem wyświechtanem mianem kryzysu. Jest to bowiem nic innego jak jeszcze jedno oblicze kryzysu zagadnienia elity.

Zechciejmy bowiem zwrócić uwagę na to, że u kolebki tego rodzaju beletrystycznych poczynań stoi zawsze chęć pewnego podporządkowania się czytelnikowi, chęć pewnych dla niego ustępstw. Dzisiaj ktoś mający dużo do powiedzenia na tematy socjologiczno-kulturalne, czy wręcz polityczne, rzadko kiedy ucieka się do jedynie właściwej formy studium, czy pamfletu, ale tworzy rozwlekłą, przeładowaną dyskusjami powieść, bo tę weźmie „szary człowiek" do ręki i dlatego wyda księgarz,—a tamte znalazłyby nielicznych czytelników i niechętnych nakładców. W tem źródło owej powodzi powieścideł, bo poza nielicznemi wyjątkami (np. „Dziedzictwo", — to jednak są stanowczo powieścidła, które chwały literaturze ojczystej nie przyniosą, szybko pójdą na duchową makulaturę, a ciekawostkę stanowić będą tylko dla badacza. Gorzej jednak, że bardzo często wypaczają one talenty i wypłycają intellekty.

Tego co napisałem nie należy brać za filipikę przeciwko samej idei powieści z założeniem. Ale powieść z założeniem to nie jest bynajmniej powieść publicystyczna, choć jest jej niewątpliwie ze wszystkich powieści najbliższa. Wyraża ona pewne idee, ale przedstawia też i pewne charaktery, daje pewne emocje artystyczne—jest pisana przez człowieka, a nie mózg. Tymczasem we wzorowej powieści publicystycznej oglądamy same marionetki, wygłaszające długie przemowy nieraz nawet bardzo interesujące, ale nie znajdujemy nic, albo prawie nic z tego, czego się zwykle szuka w powieści. Suchość stylu i szerokość wyobraźni idą tu najczęściej w parze, a tok rozumowań jest zaciemniony nonsensownemi wymaganiami rzekomej akcji. Słowem bezwartościowa mieszaninka, tak akurat udana jak synteza polsko-żydowska.

Umyślnie wyjaskrawiłem trochę te rzeczy i to wyjaskrawienie tembardziej widoczne, że za pretekst posłużyła mi powieść, wprawdzie dla niefortunnego gatunku typowa, ale pod wieloma względami udana. Chodzi mi jednak o te, że w naprawdę zdrowej literaturze, w jakimś jej złotym wieku, gdy odbija ona życie istotnie zdrowego i prężnego narodu te dziwolągi nie mają miejsca. Właściwej formy używa się w niej do właściwych celów. Ktoś, kto przeżył bogate życie, nie pisze o nim powieści, ale pamiętnik czy spowiedź bardzo literacką; ktoś inny, co to życie strawił na przemyśleniu zagadnień bytu nie pakuje tego w żadne beletrystyczne cykle, ale pisze chociażby pięknym językiem naukowe a nie literackie dzieło; ktoś wreszcie, co za swój obowiązek uważa polityczne działanie, pisze studia, artykuły, pamflety, ale znowu nigdy literaturę.

Ale cały w tem sęk, że sytuacja dzisiejsza daleka od tej normalności, że społeczeństwo w stanie wielkiej fermentacji, a życie na zakręcie dziejowym. Wiek XIX wyzwolił masy i pchnął je na drogi rozwoju, wymagające stworzenia nowej równowagi. Zburzył przez swój dynamizm dawne elity, a innych na opróżnione miejsce nie dał. I w chaosie dzisiejszym obserwujemy właściwie zjawisko pewnego odwrócenia ról społecznych; obecnie to coś, co raczej symuluje społeczne szczyty, jak jest niemi naprawdę — pilnie patrzy w dół i idzie za wskazówkami z dołu. Nie mamy też zatem żadnego kierownictwa, bo kierownicy oglądają się na masy. Jest zupełnie tak jakby ktoś, jadąc konno nie jechał tam gdzie chce, ale tam gdzie go wierzchowiec zaprowadzi.

Więc dziś wierzchowiec literacki prowadzi polityków, myślicieli i t. d. na podwórko powieści beletrystycznej. W ten sposób usiłują oni zniżyć się do mas i niewątpliwie mają rację; jeśli kogoś tu winić trzeba, to nie ich a stosunki.

Ale jeśli winić stosunki, to obowiązkiem jest szukanie dróg do ich naprawy, sposobu wyjścia do innych, lepszych. I tu organiczność życia wskazuje bardzo wiele dróg, które jak zawsze dadzą się sprowadzić do zasadniczych dwuch, do owego stałego—tak i nie.

Można więc najprzód powiedzieć—tak. Skoro życie idzie w tym właśnie kierunku, to ja z niem iść muszę. Czas może być albo największym z wrogów, albo największym z sprzymierzeńców, wolę więc, żeby był sprzymierzeńcem. I jeśli np. piszę powieść publicystyczną—to robię to dlatego, że wiem, iż będzie z tego pożytek. Szary czytelnik znajdzie w niej materiał do przemyśleń, jakiego Cartouche'e czy Wallace'y mu nie dawały i coś niewątpliwie w głowie zostanie. Wyrobi się też u niejednego smak do lepszej lektury. No a ktoś inteligentniejszy, którego spłoszył jednak ciężar dzieła — przeczyta w ten sposób coś dla umysłu. To są pożytki niezaprzeczone i rozumowanie słuszne. Ale tylko jedno — nie wmawiajcie w nas, że tworzycie dzieła sztuki i nie drapujcie się na Prusów, czy Żeromskich.

A teraz druga droga—dzisiejszość mi się nie podoba, więc mówię: nie. Cóż z tego, że życie

idzie w tym kierunku, skoro w nim iść nie powinno. Czas może być sprzymierzeńcem lub wrogiem—to prawda, ale czy jednak żadnej roli nie gra wolna wola? Czy upór nie potrafi bardzo wielu rzeczy przełamać? I wtedy, o ile piszę nie powieści, a studia czy pamflety, to nie robię tego jednak tylko na przekór życiu. Z tego też wyniknie pożytek. Przeczyta je wprawdzie nie wiele osób, ale wrażenie będzie głębsze. Zostaną się pewne wyspy wyższego myślenia, nie wszystko się sprowadzi do abecadła, czytanki i wypisów, a wtedy ktoś, kto przeszedł zwycięsko przez krąg pierwszy rozsmakuje się w drugim. I w rezultacie obie drogi się spotkają, a to jest najważniejsze.

Można więc zająć i dumną postawę wobec życia, a nie samą tylko pokorną:—zgóry zgadzam się na to wszystko co ono niesie — i obie te postawy dobre, obie, owocne w skutki. Jednego tylko robić nigdy nie można: —obrażać się na życie, nie chcieć go widzieć, bo ono za wielkim mocarzem, by dało się od niego uciec przeczeniem. Zresztą taka ucieczka to rezygnacja, a ona nigdy nic nie zbuduje i nic nie stworzy. Jeśli więc widzimy w naszej dzisiejszości zło, to możemy zawsze próbować je przerobić, ale nie możemy mu nigdy przeczyć, twierdzić że go niema, lub nie będzie—bez żadnego starcia się o to, bo to się na nic nie zda. Gdzie jest zadanie do pracy, tam się tej pracy trzeba podejmować. A budować jedynie można na realnych podstawach, nie na szczudłach marzenia. I dla tego też owocną i jedynie bogatą w skutki opozycję przeciw duchowi czasu — można prowadzić tylko w pewnej minimalnej zgodzie z nim, w pewnej współpracy z jego wielbicielami. Wtedy jedynie może ona liczyć na zwycięstwo i na przestawienie toru dziejów; o tem zawsze trzeba pamiętać, gdy nie chce się dla osobistej satysfakcji tłuc głową o mur.

KAROL STEFAN FRYCZ

O WERSYFIKACJI STAROPOLSKIEJ

P. STEFAN Godlewski przeciw którego hipotezie o istocie wiersza staropolskiego występuję w przypisku do mego Zarysu wersyfikacji polskiej, zwróciwszy łaskawie uwagę na ten przypisek, rozwija dalej swą hipotezę w N-rze 4 „Myśli Narodowej”. Gdyby zechciał również przeczytać uważnie całą moją książeczkę, przekonałby się, że płaszczyzny naszych rozważań są odmienne, przecinają się tylko w jednym miejscu, gdy obaj domyślamy się, że akcent wyrazowy nie odgrywał żadnej roli w wierszu staropolskim, nie grożą pozatem konfliktem.

Przykłady nieśpiewanych wierszy, skandowanych jednak tak samo jak dużo piosenek polskich t. j. bez liczenia się z akcentem gramatycznym a według przyjętego z góry sztywnego schematu „stopowego”, nie mogą mnie przekonać (nie mówiąc już o tem, że są mi znane i wspominam o nich w przypisku na str. 98), gdyż są to kombinacje słów w których strona znaczeniowa jest zlikwidowana na rzecz czystego rytmu, w sposób wyłączający je z rzędu utworów literatury w mowie wiązanej, których forma jest przedmiotem badań nad wersyfikacją. Bezsensowność i obca utworowi poetyckiemu funkcja mowy są oczywiste w „obliczance” dziecięcej („Entliczek, pentliczek”); w kołysance („Aa, kotki dwa”), wykonywanej zresztą recitatiwem, słowa są jakby podłożone pod rytm, który też jedynie ma znaczenie dla odbiorcy — niemowlęcia w kołysce. Teorię p. Godlewskiego uwzględniam w obszerniejszym komentarzu do niektórych ustępów mej książki; proszę więc o cierpliwość, zanim praca ta ukaże się w zbiorowej książce sprawom poetyki poświęconej. Dla zupełnego jednak rozumienia stanowiska p. Godlewskiego radbym się jeszcze dowiedzieć, kiedy przestano tak skandować wiersze polskie? Czy np. 13 zgłoskowce Kochanowskiego odczytywał autor jako sześciostopowy jamb lub czterostopowy anapest?

KAROL W. ZAWODZIŃSKI

P. Karol W. Zawodziński stawia mi w piśmie powyższem wcale bolesny zarzut, że książkę jego p. t. „Zarys wersyfikacji polskiej” przeczytałem nieuważnie. Twierdzi, że gdybym jego książkę przeczytał uważnie, tobym się przekonał, „iż obaj domyślamy się, że akcent wyrazowy nie odgrywał żadnej roli w wierszu staropolskim“. Otóż, aczkolwiek książkę p. Zawodzińskiego przeczytałem bardzo starannie i to nawet parokrotnie, chociaż znam dokładnie jego wywody, zajmować się niemi w artykule p. t. „Czy Biernat pisał jambami” nie mogłem, a nie zajmowałem się niemi wcale nie przez nieuwagę, lenistwo, lekceważenie, czy też brak zaciekawienia, ale poprostu z powodu braku miejsca. Musiałem się ograniczyć do rozprawienia się tylko z przypiskiem, zamieszczonym na stronicy 71, w którym to przypisku zostałem osobiście zaatakowany. Gdybym się wdał w referowanie i krytykowanie twierdzeń, zawartych w innych miejscach książki, nie mógłbym zmieścić w szczupłych ramach mojego artykułu, który przecież bynajmniej nie był recenzją, umotywowania hypotezy o jambiczności ośmiozłoskowców Biernatowych, a na umotywowaniu tej hypotezy zależało mi przedewszystkiem. Nie moją jest winą, że w pomienionym przypisku p. Zawodziński zamieścił takie przypuszczenie: „Chyba, żeby w staropolszczyźnie w omawianym okresie akcentu wyrazowego wcale nie było...”. Przypuszczenia owego przy najlepszej woli niepodobna uznać za jednoznaczne z twierdzeniem: „akcent wyrazowy nie odgrywał żadnej roli w wierszu staropolskim“. Staropolszczyzna nie jest synonimem staropolskich wierszy.

Bardzo jest mi przykro, że przytoczone przezemnie przykłady nieśpiewanych wierszy, które skandujemy, nie uwzględniając akcentu wyrazowego, nie mogą p. Zawodzińskiego przekonać. Nic oczywiście na to nie poradzę. Przytoczyłem je tylko dlatego, że p. Zawodziński w pomienionym przypisku oświadczył, iż „nie znamy przykładu wersyfikacji, którąby biorąc pod uwagę jakiś element foniczny (tu akcent) zużytkowywała go wbrew realnym właściwościom materiału słownego“. Gdyby p. Zawodziński zamiast wyrazu „wersyfikacji”, użył wyrazu „poezji”, nie częstowałbym go, rzecz prosta, wierszykiem „Entliczki pentliczki”. Aczkolwiek kołysanki „Aaa, kotki dwa, szare bure obydwa, nic nie będą robiły, tylko dziecko bawiły” nie

uważam za natchniony poemat, ani rusz nie jestem w stanie zgodzić się z panem Zawodzińskim, że utwór ów to tylko kombinacja słów, w której „strona znaczeniowa jest zlikwidowana na rzecz czystego rytmu". W skromnym owym anonimowym utworku tyleż jest akurat „strony znaczeniowej", ile jej jest w wielu wierszach podpisanych głośnemi w literaturze nazwiskami, że wspomnę tylko wierszyk „Czy to pies, czy to bies", albo „Przy kościołku, mój aniołku". Ale z badań wersyfikacyjnych nie podobna wyłączyć nawet utworów zupełnie bezsensownych. Jeśli p. Zawodziński dyskwalifikuje, jako materiał badawczy, odliczankę „Entliczki pentliczki", to trzebaby również wyłączyć z badań metrologicznych wszystkie: mironton, mirontaine, ram tam plan, dana dana, oj dziś dziś, rachciachciach, tamdaradaj, dideldumdaj etc. Trzebaby zdyskawalifikować, albo przynajmniej wykastrować przed wzięciem pod rozwagę, mnóstwo utworów literackich podpisanych takiemi nazwiskami, jak Walter von der Vogelweide, Henryk Heine, Juljusz Laforgue, etc. etc.

Pan Zawodziński twierdzi, że przytoczone przezemnie przykłady są mu znane i że wspomniał o nich w przypisku na stronnicy 98. Nigdy oczywiście nie wątpiłem o tem, że są mu znane. Ani na chwilę nie uwierzyłem jego mylnemu twierdzeniu cytowanemu wyżej: „nie znamy przykładu wersyfikacji... etc.". Któż ośmieliłby się posądzić p. Zawodzińskiego o nieznajomość kołysanki „Aaa, kotki dwa". Ale właśnie dlatego, że książkę pana Zawodzińskiego przeczytałem uważnie, ośmielam się twierdzić z całą pewnością, że na stronicy 98 ani słóweczkiem nie wspomina on ani o „Kotkach", ani też o „Entliczkach". Pisze wprawdzie ogólnikowo o dziecinnych wierszykach służących do odliczania się w zabawach, ale wyraźnie zaznacza, że ma na myśli utwory operujące akcentami wyrazowymi. Otóż jak na złość ani „Entliczki", ani „Kotki" akcentami wyrazowymi nie operują. Nie ośmielam się oczywiście wobec oświadczenia pana Zawodzińskiego podejrzewać, że pisząc przypisek na stronicy 98 o „Entliczkach" i o „Kotkach" nie myślał. Jest jednak dla mnie rzeczą oczywistą, że podczas pisania obu pomienionych przypisków nie uświadamiał sobie faktu, że i „Entliczki" i „Kotki" akcentujemy niegramatycznie.

Wobec zdyskwalifikowania obu moich przykładów, obawiam się, że p. Zawodziński zdyskwalifikuje również przykład poniższy:

gdy SROgo lew Ogonem RUsza,
to w KRZAku podSKAkuje DUsza.

Bez względu na stronę znaczeniową utwór ów dla mnie jest wystarczającym przykładem istnienia polskiej wersyfikacji, lekceważącej akcent gramatyczny. Oczekując cierpliwie, ale z doskwierającem żywo zaciekawieniem, zapowiedzianego komentarza do książki p. Zawodzińskiego, mam zaszczyt zawiadomić mego Szanownego Oponenta, że utwory przeznaczone mojem zdaniem do jambicznego dukania i specjalnie do tego celu rymowane widzę jeszcze u Reja. Nie ośmieliłbym się twierdzić, że, poszukawszy, nie znalazłoby się wierszy, przeznaczonych do skandowania sprzecznego z akcentem gramatycznym również w poezji późniejszej. Trzynastozgłoskowce Kochanowskiego jednak (przynajmniej te, które pamiętam) przeznaczone już były mojem zdaniem do czytania normalnego, to znaczy z akcentami gramatycznemi na drugich sylabach od końca. Tu i ówdzie Kochanowski i bardzo wielu jego następców akcent gramatyczny lekceważyli: Lekceważony on bywa po dziś dzień w wypadkach wcale częstych, które pomimo swej częstości nie przestają być wyjątkami. W świeżo ogłoszonym (w „Podbipięcie") przekładzie Puszkinowskiego „Rusłana i Ludmiły" p. B. Gębarski akcentuje tak:

ziśCIło SIĘ słodKIE maRZEnie,
miŁOŚci DAR przyGOtoWAny,
zaZDROSne SPAdnie WNET oDZIEnie
na MIĘkie CARgradzKIE dyWAny.

Pomimo akcentów: „słodKIE" i „CARgradzKIE" nie można twierdzić, że dla p. Gębarskiego akcent gramatyczny, jako element wersyfikacyjny nie istnieje. Pan Gembarski lekceważy go tylko wyjątkowo w paru miejscach. Podobnie wyjątkowo w znanych mi trzynastozgłoskowcach akcent gramatyczny lekceważył Kochanowski.

STEFAN GODLEWSKI

NAUKA i LITERATURA

TETMAJER W „BIBLIOTECE NARODOWEJ"

KAZIMIERZ Przerwa-Tetmajer należy do nielicznych z reguły pisarzy, którzy mają już za sobą lwią część swego życia i pracy twórczej i cieszą się obecnie późną starością. Jednakże nikt dotąd nie napisał o nim rozleglejszej pracy krytycznej. Dowodzi to, że obecnie kryzys talentów krytycznych jest jeszcze większy, niż nieurodzaj na wielkości poetyckie. Nie ma też sensu apelować tutaj do kierowników seminariów magisterskich i doktoranckich; znamy te nasze uniwersyteckie seminaria historii literatury polskiej.

Wśród profesorów są znakomitości, ale już asystentów zdolnych jest znacznie mniej. Ci profesorowie istotnie wskazują studentom na tematy z ostatnich epok i najnowszej literatury. Czasem na brak talentu jest jedna rada: praca. Atoli na brak i talentu i moralnej dyscypliny, którą jest ochota do pracy—rady dotychczas nie wynaleziono. Krótko mówiąc przeżywamy upadek kultury humanistycznej, osobliwie w młodym pokoleniu.

Historia wymyka się z rąk historykom i zasnuwa pokładami lat. Mamy coraz więcej potrzebnych, a nie napisanych jeszcze monografii. Tymczasem życie ucieka i zacierają się linie świata, w którym ten lub ów pisarz żył. Poco czekać, „aż się przedmiot świeży jak figa ucukruje, jak tytoń uleży?" Ironia Mickiewicza jest tu zupełnie oczywista. Figa ucukrowana i tytoń spreparowany do palenia dają nikłą podstawę do wyczarowania sobie żywych roślin, które je wydały.

Nie można wymawiać się, że trudno o jakąś postawę obiektywną wobec współczesności, bo epoka się jeszcze nie skończyła, nie pokazała swoich owoców, nie zdały egzaminu dojrzałości jej postulaty i t. d. Gdyby nawet tak było, to przyszły historyk powie swoje zdanie z większą może bezstronnością sądu i obfitszym materiałem porównawczym w t. zw. perspektywie. My, współcześni, mamy natomiast inne możliwości, których następne pokolenia co do tego samego przedmiotu mieć już nie będą. Dysponujemy większą znajomością szczegółów z życia i środowiska opisywanych ludzi. Mamy osobisty z nimi kontakt, którego nic nie zastąpi. Zgódźmy się, że syntezę będą pisali jutro. Ale możliwość błędu w tej jutrzejszej syntezie będzie tym mniejsza, im więcej dziś przygotujemy na świeżo zebranego materiału historycznego.

Żal człowieka ogarnia na myśl, że oto wymierają kolejno rówieśnicy i bliżsi towarzysze Przesmyckiego, Tetmaje-

ra, Struga, Staffa, Świętochowskiego, Rodziewiczówny,—niszczeją dokumenty z ich młodości w pamięci ludzkiej, a tymczasem nie słychać o próbach monograficznego opracowania tych niezwykłych talentów, nie napisano też dotychczas życiorysu żadnego z nich, w rodzaju np. pracy Noyszewskiego o Żeromskim.

W pewnym stopniu tę potrzebę zaspokaja Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie, wydając wybitniejsze utwory sztuki literackiej i myśli polskiej aż do ostatnich czasów.

Obecnie witamy nowy tom „Biblioteki Narodowej", ‚Wybór poezyj" Kazimierza Tetmajera. Wiersze, umiejętnie wybrane z obfitej spuścizny poety, podzielono na 10 grup, według tematów: Godzina tworzenia, Miłość, Z zamyśleń i nastrojów, Tatry, Legendy i rzeczy góralskie, Hymny i pieśni społeczne, Rapsody, Wrażenia włoskie, Echa Hellady, z „Iliady".

Wstęp informacyjno-krytyczny napisał Jan Lorentowicz ze znajomością rzeczy, barwnie i treściwie, chłodno charakteryzując i oceniając poezję Tetmajera. Jednakże trzeciej części wstępu, p. t. „Sztuka poetycka Tetmajera" trzeba zarzucić zbyt skromne rozmiary, przez to zbyt lakoniczne i pobieżne potraktowanie przedmiotu. Przydałby się sąd co do normalnego języka poezyj Tetmajera. Jest zaznaczony najogólniejszy typ jego wyobraźni, mamy wzmiankę o wrażliwości i zmysłowości, ale brak choćby szkicowego obrazu świata jego wrażeń, charakterystyki jego motywów, ciągnących za sobą pewne kształty stylistyczne i pewne wysłowienie.

Ten świat — uczuć i pojęć Tetmajera i artystycznych sposobów ich ujęcia i wypowiedzenia—nie jest bogaty. Nawet nie jest wielka skala jego nastrojów, nie mówiąc już o skąpo zaopatrzonej rekwizytorni metafor i obrazów, tudzież o zasobie rymów i słów.

To też Tetmajer, który dużo pisał, często robił takie wrażenie, jakby się powtarzał. Drukował warianty, naśladowania własnych utworów. Widać to już w tym zbiorze wierszy, które zostały przecież starannie wybrane z wielu tomów, jako najlepsze i najcharakterystyczniejsze. W poezji jego niema dysonansów literackich, atoli jest to harmonia złożona z niewielu tomów. Daru natchnień u Tetmajera nie widać. Odczuwa się raczej u niego skłonność do łatwych, pospolitych wzruszeń, w rodzaju sentymentalnego, kobiecego zachwytu nad przyrodą: jakie to piękne! Stąd może, obok zdrowej prostoty i jasności stylu i ujmującego wdzięku szczerego uczucia — płynie jego popularność w szerokich sferach społeczeństwa. Kiedy się czyta Mickiewicza i Tetmajera—to przecież trudno się oprzeć dziwnemu wrażeniu, że sztuka poetycka wieszcza była narzędziem w jego ręku, którym posługiwał się jak chciał, swobodnie i świadomie. Natchnienie jego, jak to zwykle bywa z natchnieniem — działało w głębszej sferze motywów i idei. Tetmajer wygląda na poetę, któremu się forma narzuca w sensie pewnej maniery, nałogów artystycznych. Wrażenia i osiągnięcia kostnieją w jego mózgu i jak klisze—odbijają w następnych utworach podobne tematy i skojarzenia, pomysły i nastroje, nawet słowa i rymy. I nie czuć, aby poeta był świadom tego samozaczarowania. Poza nielicznemi wynurzeniami o swych skrępowanych, lub złamanych skrzydłach, gdzie zresztą można tylko podejrzewać kompleks zastarzenia się, braku inwencji twórczej, nie słychać tego tragizmu w muzyce poetyckiej Tetmajera; zapewne nie było go i w jego duszy. Tworzył jak gdyby w półśnie. Prawdziwy, chociaż nie genialny poeta. Zanurzał się w błękicie lub „otchłani wszechświata", „skąd blask dróg mlecznych pruszy", wysyłał swą duszę łodzią na fale rzek i mórz, czuł się ptakiem, śniły mu się ciągle lasy, łąki, „siwe wody", „śnieżne góry", grała mu długo „błękitna, cicha, skrzydlata" muzyka jego duszy.

Obrazowaniem jego i tłem jest przyroda, nieco konwencjonalnie liryczna, tchnąca czarem baśni dla dziewcząt, w jej cudownych kształtach górskich z bujną roślinnością z grą prostych, wstrząsających i elementarnie pięknych żywiołów. Duch Tetmajera błąka się sentymentalnie wśród tej przyrody i wieje, dokąd go żywioł poniesie.

W rozmiarach recenzyjnego artykułu trudno wdawać się w szczegółową i bardziej systematyczną charakterystykę. To właśnie powinno być w komentarzu Lorentowicza.

TADEUSZ DWORAK

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Szymon Konarski. „Szlachta kalwińska w Polsce". Warszawa 1936, str. 358.

Obszerna i żmudna praca p. Konarskiego, jak to on sam zresztą w swojej przedmowie zaznacza, stanowi jedynie bogaty materiał do ewentualnych badań nad historią rodzin kalwińskich w Polsce i historii reformacji u nas wogóle. Nie jest więc to żadne dzieło heraldyczne, ani herbarz, ale staranne zebranie danych rozproszonych po metrykach. Są to jakby się obrazowo można wyrazić cegiełki do budowy wspaniałego gmachu, ale jeszcze nie gmach.

Zresztą książka ta, nawet w tym poniekąd surowym stanie — pozwala na różne ciekawe obserwacje i wnioski. Widać z niej jasno, że główną twierdzą kalwinizmu była u nas Litwa, gdzie też i do dnia dzisiejszego najwięcej kalwinów zostało. Po niej dopiero szła Małopolska, a na szarym końcu Wielkopolska, gdzie w dodatku rodziny kalwińskie często luźny z naszem społeczeństwem miały związek, mocno przesączone krwią niemiecką i nieraz niemczejące w niektórych liniach jak Dziembowscy czy Rozbiccy.

Widać też jak powierzchowną była ta fala reformy, co swego czasu Polskę ogarnęła. Znakomita większość wymienionych przez p. Konarskiego rodzin dziś jest wyznania katolickiego i wielkiej gorliwości w wierze. Są i takie co nawet tytuły od Papieża otrzymały—jak Kurnatowscy. Ale wszystkie te i inne spostrzeżenia muszą być ze względu na charakter dzieła powierzchowne i ułamkowe, — pełną odpowiedź i pełną możność konstruowania wniosków dać może dopiero herbarz szlachty kalwińskiej, w którym jasno stanęłaby nam przed oczami ntetylko sama liczba kalwińskich rodów, ale też ich znaczenie i rola w państwie. Praca taka powinna też uwydatnić i ten proces katoliczenia owych rodzin, który po okresie kontr-reformy nabrał znowu na sile w bezreligijnem XIX stuleciu ze względu na stanowisko jakie zajął wtedy kościół w sprawie małżeństw mieszanych.

Do dziejów kultury w Polsce ta nienapisana jeszcze ale bardzo przez p. Konarskiego ułatwiona praca jest niezbędna. (K. S. F.)

*

Niedawno na tem miejscu omówiono trylogię Alji Rachmanowej wydaną przez Księgarnię katolicką w Katowicach, a mającą za treść przeżycia w czerwonem piekle bolszewickiem.

Obecnie ukazała się w przekładzie polskim (L. Szechtlówny) druga rzecz tejże autorki, a mianowicie powieść „Fabryka nowych ludzi" (nakł. księgarni św. Wojciecha w Poznaniu). Tło znów to samo: Rosja sowiecka, ale odcinek znacznie węższy, przez co może dokładniej wysondowany. Można by tej książce dać inny jeszcze tytuł: „Zdeptanie kobiecości" czy coś w tym rodzaju. Treścią jej bowiem jest niedola i krzywda, jaka na każdym kroku spotyka dziś w Rosji kobietę. Skoro miłość to tylko „*fiziołogiczeskij wopros*", a stosunek mężczyzny do kobiety to tyle co „wypicie szklanki wody", więc mężczyzna nie poczuwa się do żadnych obowiązków względem osoby płci drugiej.

Żydowska praktyka „listu rozwodowego" stała się sankcjonowanym przez prawo obyczajem; jeżeli do zawarcia małżeństwa wystarczy zameldowanie się w „Gub-zagsie" to do rozwodu nie potrzeba nawet zgody kobiety zainteresowanej; są tacy, co się „żenią" i rozwodzą co kilka dni — jedna z osób powieści czyni sobie nawet z tych małżeństw i rozwodów swoją „profesję", źródło utrzymania, czy sport. Przed gwałtem, wyzyskiem, nadużyciem kobieta niema żadnego zabezpieczenia, żadnej obrony ani praw do skargi. Nie ma też prawa do tego, co z natury samej jest największem jej szczęściem: do miłości swego dziecka, do opieki nad niem. Jak wszelka miłość, tak i miłość rodzinna nie jest uznana przez Sowiety, uchodzi za „burżuazyjny przesąd". Jakże często dzieci wypierają się swych rodziców!

Cały zastęp tych kobiet skrzywdzonych przewija się w powieści p. Rachmanowej. Jest prosta Agrafiena, jest wykwintna estetka-intelektualistka Tamara; jest wzruszająca swą dobrocią Anna Iwanowna, jest i bohaterska, święta

choć shańbiona Niurka. Naczelną zaś postacią jest Tania; zostawszy żoną ideowego bolszewika, twórcy „Fabryki nowych ludzi", wyznaje przecie zasady inne, w imię których broni swego dziecka i ku którym zwolna z Bożą pomocą prowadzi serce męża. Myśl o Bogu, tępiona przez władców Rosji, budzi się w ludzie samorzutnie — i oto w samej „Fabryce nowych ludzi" kryje się główne gniazdo sekty religijnej...

Szereg pysznie uchwyconych typów ludzkich (doktór Krasnow, literat Kuzniecow) ożywia tę powieść pisaną silnie, choć napozór bezładnie. Przekład polski poprawny. Parę omyłek w języku rosyjskim można darować. Cytowany piękny wiersz Lermontowa powinien był przełożyć ktoś inny, obdarzony talentem poetyckim... (J. B—r)

ZE ŚWIATA SZTUKI

BAKCYL SZTUKI

W UBIEGŁĄ NIEDZIELĘ znów sobie przypomniałem charakterystyczne *signum* czasów wojny — t. zw. „ogonki". Znów się znalazłem w ogonku, tym razem nie po cukier, ani po chleb, tylko po sztukę. Było to przed drzwiami Muzeum Narodowego. Długi wąż (po czterech w szeregu) czekał cierpliwie, by się dostać na goszczącą u nas wystawę malarstwa francuskiego. Wystawa ta gromadzi szereg znakomitych dzieł malarstwa francuskiego, od Maneta, aż po dzień dzisiejszy. Część obrazów pochodzi z Luwru i została nam wypożyczona, na czas trwania wystawy, przez rząd francuski, pozostałych dostarczyły wybitne galerie prywatne. Luwr, jak wiadomo, posiada w swych zbiorach arcydzieła; po za obrazami z tego muzeum, pokazano najwybitniejszych współczesnych malarzy Francji.

Oto niecodzienna treść tego pokazu sztuki. Trzeba jeszcze dodać, iż Muzeum Narodowe postanowiło w niedzielę nie pobierać opłaty za wstęp. Jak doniosłą i owocną, dla kultury najszerszych warstw społeczeństwa, stała się ta decyzja, świadczy jesze dobitniej od wystawy francuskiej obraz zwykłego ruchu publiczności, w salach Muzeum ze sztuką zdobniczą. Jest to obraz prawdziwie budujący. Na wystawie francuskiej widzi się przeważnie inteligencję, młodzież szkół artystycznych (snobów też...), tu zaś drobnomieszczaństwo, sfery rzemieślnicze, nawet służbę domową. Tłumy. Widzi się ludzi, którzy nawet o samem istnieniu muzeum pojęcia dotychczas nie mieli.

Nie mówcie mi, że to powodzenie spowodowała darmocha. Nikt nie ogląda tego, co go nie interesuje. Nieraz na bezpłatnych odczytach i akademiach sale świecą pustką. Oczywiście wstęp bezpłatny odgrywa rolę pewnego rodzaju bodźca i w tym też celu został wprowadzony. Należy zarazić zwiedzających bakcylem sztuki, a potem już sami wrócą. Ta prawdziwa troska o pogłębienie kultury szerokich mas pięknie świadczy o poczynaniach naszego Muzeum N. Postępując w ten sposób, Muzeum czyni zadość zadaniom, których spełnienia napróżno dotychczas oczekujemy od IPS-u i Zachęty.

W związku z wystawą francuską, do której wypadnie mi jeszcze powrócić, gdyż felieton dzisiejszy ma charakter jedynie informacyjny, ruchliwa firma Mortkowicza urządziła u siebie wystawkę reprodukcyj *facsimil'*owych dzieł impresjonistów francuskich. Trzeba dodać, że, coraz większe czyniąca postępy, technika reprodukcyjna potrafi dziś znakomicie oddać wartości estetyczne oryginału i w związku z tem cena takiej reprodukcji jest też odpowiednia, sięgając nieraz 80-ciu złotych. Reprodukcje te uzupełniają obraz twórczości wielu artystów z wystawy w Muzeum.

Pokaz malarstwa francuskiego przyczynił się do wydania paru publikacyj, inne uczynił aktualnymi. Muzeum wydało katalog wystawy, ilustrowany i poprzedzony wstępem Claude Roger Marx'a, a także małą książeczkę, opracowaną przez dr. Juljusza Starzyńskiego, p. t.: „Główne kierunki w nowoczesnym malarstwie francuskim". Cézanne'owi poświęcony, a więc związany również z wystawą jest ostatni zeszyt „Głosu Plastyków" (Nr. VII—XII, luty 1937). Zagadnienia malarstwa epoki cézannowskiej omawia jednocześnie Józef Czapski. w specjalnej broszurze, wydancj nakładem IPS-u. Jak widać jesteśmy pod znakiem Francji.

Z Francji, z Paryża, wróciła właśnie Marja Berezowska; jedna z najbardziej utalentowanych naszych artystek. Po powrocie przypomniała nam się, u Garlińskiego, wystawa rysunków i akwarel. Jeśli chodzi o temat i rodzaj najwięcej jest tu ilustracyj, portretów i rysunków w charakterze ilustracji utrzymanych. W najbliższym numerze „Myśli" postaram się skreślić szkic portretowy tej wyrazistej indywidualności artystycznej, tymczasem notuję u Berezowskiej spotęgowanie nieznacznej dotychczas, roli koloru w obrazie i pogłębienie kultury kolorystycznej.

Wszystkie te interesujące zdarzenia artystyczne powstały po za murami IPS-u i Zachęty. W Zachęcie dobiega końca „Wystawa Morska", urządzona z okazji XVII-tej rocznicy odzyskania dostępu do morza. Bałtyk, jak dotąd, nie miał niestety powodzenia u naszych malarzy. Poświęcili mu głównie swe zainteresowanie artyści nienajlepsi; dobrymi patriotami byli przeważnie kiepscy malarze, a kiepskimi patriotami dobrzy artyści. W ostatnich czasach stan ten stopniowo poczyna ulegać zmianie i dziś marynistyką interesuje się już szereg plastyków z prawdziwego zdarzenia. Wśród nich nie brak grafików. Z tej lepszej kategorii wymienimy: A. Rychtarskiego, M. Krzyżanowską, W. Weissa, Cieślewskiego syna, Srzednickiego, Z. Stankiewiczównę, A. Sołtana.

Niestety malarze naogół pojęcie naszego morza rozumieją w sposób dosyć ograniczony: jako jeszcze jeden wdzięczny (i banalny — powiedzmy) motyw pejzażowy. O ludziach z nad morza, o ich pracy, o zmaganiu się z żywiołem, prawie nigdy się nie wspomina, nigdy też — o życiu i pracy portu. A przecież jeśli sztuka nasza pragnie się wypowiedzieć o polskim życiu współczesnym, nie powinna tej jego postaci pomijać.

WIKTOR PODOSKI

FILM

CAPITOL: „O czem marzą kobiety", reż. A. Marten.

Byłaby ta sensacyjno-detektywistyczna komedyjka daleko znośniejsza, gdyby nie b. powolne tempo. A wiadomo, że w takich utworach dobre tempo jest nieodzowne. Jako zaletę natomiast zanotować należy posługiwanie się dowcipem w sposób, nareszcie pozbawiony znamion ordynarności i szarży.

Fotografia niebardzo pomysłowa, powiedzmy — uboga.

KANDYD

POKŁOSIE

NIEPOROZUMIENIE

Wiele pisano w ostatnich czasach u nas o książce czeskiego dyplomaty p. Szeby; wywołała ona przez swe bolszewickie sympatie i stosunek do Polski silną reakcję. Jednocześnie ukazała się wiadomość o francuskiej książce czeskiej autorki, obarczającej późniejszego prezydenta Masaryka odpowiedzialnością za zwycięstwo bolszewizmu w Rosji, mógł go bowiem siłą czeskich legionów stłumić i był o to proszony. jednak tego nie uczynił. Zarówno niespodzianka, jaką jest dla części naszej opinii sympatia Czechów do sowietów, jakoteż twieodzenia owej francuskiej książki mają źródło w nieznajomości stosunków, w jakich tworzyły się legiony czeskie w Rosji, to jest to ugrupowanie, które wywarło i wywiera decydujący wpływ na politykę czeską. (Nb. p. Szeba jest również b. oficerem legionów).

Jak wiadomo pierwsze zaczątki legionu czeskiego zorganizowane były przy bardzo przychylnym stosunku rządu rosyjskiego z Czechów wołyńskich i nielicznych Czechów austryjackich, których wojna zaskoczyła na terytorium caratu i którzy z patriotycznych pobudek stanęli przeciw Austrii. Liczebnie nie było to oczywiście zbyt imponujące, liczono jednak na dopływ jeńców z armii austryjackiej.

Rząd rosyjski, który w powstaniu tego legionu widział legitymację dla siebie, jako oswobodziciela Słowian, popierał Czechów wszelkimi środkami i dał czeskim komisjom rekrutacyjnym dostęp do obozów jeńców, przedewszystkiem do obozu rozdzielczego w Darnicy pod Kijowem, gdzie gromadzono wszystkich jeńców z frontu austryjackiego. Nawiasem dodajmy, że mimo usilnych starań żadna z organizacji polskich nie mogła uzyskać tam dostępu, nawet dla celów czysto humanitarnej pomocy.

Czesi wyzyskali te swoje uprawnienia bardzo umiejętnie i wszechstronnie. Rekrutacja do legionu szła wprawdzie bardzo opornie, jeńcy bowiem, wydostawszy się raz z szeregów, nie mieli wcale ochoty wracać do okopów; czyniły to tylko nieliczne jednostki, bardziej ideowo nastrojone. Korzystali natomiast oczywiście bardzo chętnie z pomocy komitetów czeskich w dziedzinie rozmieszczania Czechów na robotach. Na całej Ukrainie, wskutek mobilizacji, był naturalnie brak ludzi i Czesi nie mieli najmniejszej trudności w ulokowaniu swoich w tej mlekiem wówczas i miodem płynącej krainie, tembardziej, że robotnik czeski, wyszkolony po zachodniemu i mogący się łatwo po krótkim czasie porozumieć z otoczeniem, był chętnie brany przez pracodawców. W ten sposób niebawem w samym Kijowie i okolicy zainstalowano kilkadziesiąt tysięcy Czechów, oszczędzając im wędrówki na dalszy wschód i ciężkiej pracy w kopalniach. Ale to wygodne życie, jakie jeńcom zgotowano, nie polepszało bynajmniej szans rekrutacji i legion czeski, mimo wszelkich wysiłków propagandy, nie mógł przekroczyć stanu brygady, ocenianej liczebnie na 3 tysiące ludzi. Nie bez skutku były tu też tarcia i niezgody wśród kierowników, przeciwieństwa między Czechami miejscowymi, naogół konserwatywnymi i dość carosławnymi, a radykalnym elementem austryjackim.

Zmieniło się to gruntownie dopiero w roku 1918, po załamaniu się frontu rosyjskiego, posuwaniu się Niemców na wschód i Brześciu. Wówczas przed siedzącymi dotychczas jak u Pana Boga za piecem jeńcami austryjackimi stanęła znów niemiła perspektywa ponownego wcielenia do armii austryjackiej, a często i odpowiedzialności, za poddanie się. Lepiej więc było wycofać się z legionem na wschód, to też legiony dopiero teraz zaczęły gwałtownie puchnąć i w krótkim czasie doszły do kilkudziesięciu tysięcy.

Wojsko to, powstało więc bynajmniej nie jako protest przeciwko zaprzestaniu wojny przez bolszewików i pod hasłem jej kontynuowania, lecz przedewszysteiem jako odruch samozachowawczy. Złożony w wielkiej części z robotników, socjalistów, lub do nich zbliżonych, nie miało nietylko niechęci do bolszewików, lecz przeciwnie, wyraźną sympatię, a niechęć do białych. Nie poszli wprawdzie na ugodę z bolszewikami i na rozbrojenie, ale to tylko pod wpływem tegoż instynktu samozachowawczego, który zakazał im oddawania broni w obcym kraju i zdawania się w ten sposób na łaskę i nie łaskę Trockiego a mieli mimo wszystko sympatię do rewolucji, wprowadzili u siebie takie urządzenia, jak wybieralność oficerów i nie mogło być mowy o tym, żeby nakaz Masaryka, którego popularność nie była zresztą tak wielka, jak się mniema, mógł zwrócić legiony czeskie stanowczo przeciwko bolszewikom. Walka z bolszewikami miała charakter obronny, trzymanie z koalicją wypływało z konieczności zapewnienia sobie otwartej drogi na wschód. Stosunek do Kołczaka i formacji polskich najlepiej tego dowodzi.

Prezydenta Masaryka można całkowicie uwolnić od zarzutu, że mógł, a nie stłumił bolszewizmu. Nie było to w jego mocy, gdyby nawet chciał. A czy zechciałby, to też kwestia. Trzeba natomiast zawsze liczyć się z tem, że bolszewizm wcale nie odstraszył Czechów od Rosji. Ich decydujące ugrupowanie ideowe, legioniści, tworzyło się w atmosferze sympatii do bolszewizmu (były z tego powodu nawet samobójstwa wśród oficerów) i Rosja pozostała dla Czechów tem czem była przed wojną: potężnym i bogatym wujaszkiem, od którego można się spodziewać skutecznej pomocy przed Niemcami. Rządy p. Benesza, jednego z najwyższych dygnitarzy masonerii, napewno tego nastroju nie zmieniły, tembardziej, że niebezpieczeństwo niemieckie wzrosło.

Książka p. Szeby może była niezręcznością, ale odpowiada niewątpliwie panującemu u Czechów nastrojowi.

ARGUS

NA MARGINESIE

„Kurier Wileński“ podający się za organ płk. Koca zastanawia się dopiero teraz, „co właściwie [użyty w deklaracji] przymiotnik NARODOWY oznacza“.

Po zawiłej argumentacji organ ten dochodzi do wniosku, że Obóz płka Koca będzie nacjonalistyczny, ponieważ przyznał prawo nacjonalnego rozwoju wszystkim narodom, zamieszkującym w państwie. Płk. Koc w swej deklaracji odwołuje się do tradycji Jagiellonów...

Jednem słowem, według tej interpretacji (czyżby miarodajnej?) wyraz „narodowy“ znaczy to samo co „narodowościowy“. Według tego utajonego w deklaracji rozumienia ideałem politycznym Obozu jest państwo narodowości podczas gdy ideałem narodu polskiego jest państwo narodowe.

To nie jest to samo.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM